

METAMORFOZY.

OBRAZKI

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom I.



WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1860.



M E T A M O R F O Z Y.

7 5 0 7 1 1 0 0 1 2 5 8

METAMORFOZY.

OBRAZKI

PRZEZ

J. J. Kraszewskiego.

In nova fert animus mutatas dicere
formas Corpora.

P. OVIDII *Metamorphoseon. Lib. I.*

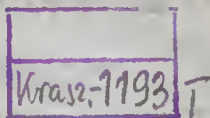
T O M I.



W I L N O.

Nakładem i Drukiem Józefa Zawadzkiego.

1 8 5 9.



Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie
Cenzury prawem oznaczonój liczby exemplarzy. Wilno, 18
Maja 1859 roku.

Cenzor, PAWEŁ KUKOLNIK.



CZĘŚĆ PIĘRWSZA.

Vigilantium somnia.

WRÓĆMY raz jeszcze do źródeł życia, do jasnej młodości, do tych drogich wspomnień porannych, ku którym myśl się stęskniona obraca, by w nich siłę nabrać do dalszej walki;— weźmij raz jeszcze kij pielgrzymi i powędrujemy do tych krajów znikłych, jak Atlantyda, lecz w pogodne dni wspomnienia ukazujących się na widnokręgu naszym. Pierś może w tym uścisku z przeszłością nabierze ochoty do życia, napije się tych soków, które z niej boleść wyssała, uśmiech może wróci na usta, nadzieja do serca, odwaga w piersi wystygłe.

Biada temu kto nie miał młodości, kto nie ma wspomnień, i zgubił drogę do tego źródła

wody żywiącój, do odmłodzającego źródłu za siedmią górąmi lat przeczytyeh.

Dla niego cudze przypomnienia nie obudzą drogich pamiątek, bo to wyklęty odrzutek nie mający skarbu, który my wszyscy niesiemy z sobą po kołących drożynach pielgrzymki naszćj jak chléb Ezopa.

Biada temu kto się starym urodził, chłodnym oczy otworzył w kolebce i ani na chwilę w świat nie uwierzył; kto nie pokochał nie aby nie cierpieć, nie dał się uwieść niczemu, i nie marzył innego świata nad ten, jaki mu ciążył na barkach.

Ja się obracam do moich towarzyszków życia, jak ja ułomnych dzieci, co prześniły i przebolewały wiele, co pogubiły nadzieje po drodze; ale którym przeszłość promienieje zdaleka jasno, w których dziś jeszcze odżywa się czasem stara pieśń dziecienna o zaczarowanych krajach.

O! jakeśmy to śnili życie, a jak dziwnie inaczćj się splotło? jakeśmy wierzyli święcie, jak czeili pocziwie, jak się modlili gorąco, jak spodziewali się ufnie, jak każdy gdyby w bajce królewicze działem brał jakąś część świata,...

a co nam dzisiaj z tego dziedzictwa urojonego zostało?

Przestrzegał nas nie jeden starzec siedzący nad drogą i mówił przechodzącym:

— Ostygniecie, prysną mary wasze, przebudzicie się ze snu, przyjdzie zapóźno rozum!

Ale któżby smutnym przepowiaduom wierzył? Nam tak dobrze było w tym jasnym obłoku młodości lecieć po nad ziemią i sypać kwiaty, i uśmieczać się pod stopami naszymi rozciągniętej ziemi.

Pamiętam, wielu nas było wówczas braci duszą, myślą braci, wiekiem, pragnieniem, nadzieją... siedmiu nas było zbliżonych trafem... tych siedmiu, jeżeli chcecie, opowiem wam dzieje, a siedmiu kroć siedmiu znajdzie się może co powie słuchając ich w zadumaniu:

— To naszego życia zwierciadło i to są przygody nasze! Bośmy wszyscy jednym prawie życia kolejom podlegli, i dobre ono jest, a kto się zeń wyłamał i nie był bratem ludzi, został odrzutkiem biednym i zmarł na wygnaniu.

Powiecie mi może:

— Stare to dzieje i znana historia?

Lecz nie stareż życie, nie stary świat, nie co-dzień się li powtarza to co od lat tysiąca, zawsze w jednój porze, w jednaki się sposób odnawia?

Wieleż nam razy zaszło słońce, a wstajemy, przypatrzeć się jego wschodowi?

Było ich kilkun obcych sobie, a związanych przyjaźnią braterską, przywędrowali ze stron odległych jednego dnia do starego naszego Wilna, i u murów zsiwiałych *almae matris*, złożyli lekkie tłumoczki swoje. Wilno było jeszcze naówczas gospodą młodzieży, która tu z dalekich stron, pokarmu na długą podróż życia szukać przychodziła, i ulice jego brzmiały weselem, a echa okolicy rozlegały się pieśniami, a młodzież czyniła młodym ów gród prastary, połamany w bojach, zezerniały w pożarach. U stóp zwalonego zameczyska na górze miastu panującej, kwitły fiołki jak ta młodzież świeże, choć z gruzów ciągnące życie. Przed wieki lane dzwony, grały pobożną pieśnią, która uszom młodym była wezwaniem na jutrznię... choć starym brzmiała po-

grzebem - wszystkich pokoleń, które pochowała; lecz gdy stu młodych witali jutrzeńkę, któżby jednemu starcowi słuchającemu pogrzebowego *Dies irae*, uwierzył?

Zbieraliśmy wspomnienia, i w martwych nawet znajdowało się życie, nie jeden zeschły kwiat odżył i nappełnił się wonią przy piersi młodzieńczej.

Potęga téj młodości nżyźniała wszystko, miasto nią młodniało, starzy się uśmiéchali, ementarze nawet były wesołe, wszysey w niej brali życie i zarażali się tą chorobą nadzici— a kilku zeschłych nie śmieli się nawet odezwać, że nie w powietrzu nie czują. Zdawało się, że to tak silne, tak wielkie, iż wieki trwać musi, a nie trwało nawet chwili przelotnej. Reszta Bożego świata, co z tą młodzieżą nie wiązała się żadném ogniwem, miała pozor wygnańców— a każdy komu było chłodno i smutno szedł się napić młodości między nami, cośmy ją pełnemi rozrzucali garściami.

Wszyseyśmy wówczas snili na jawie, każdy co innego, lecz splecione w wieniec, te marzenia obudzonych, kwitły wszystkiemi barwami tę-

czy, pachniały wszystką wonią ziemi i tworzyły obraz wielki, w którym nic do całości nie brakło. Jedném światłem gorzały wszystkie widma, które gorące wywoływały piersi... i jak my byliśmy bracia, tak dumy nasze trzymały się za ręce i wyglądały na różnoletnie siostrzyczki... O! cóż to za śliczny, malowany świat błyszczał nam zdaleka.

Pierwszy z nich był sierotą, ale dlań ubóstwo i odosobnienie siłą się stało nie ciężarem; opuszczony czuł, że wszystko potrzeba mu dobyć z siebie, wszystkich sobie zastąpić, i podwajał się dla przyszłości. Dziecięciem nauczył się pracy, wypił upokorzenie, spróbował niesprawiedliwości, uzbroił niemi na próby dalsze, i stwardział na przeciwność. Los był mu opiekunem troskliwym, choć na pozor ze wszystkiego wydziedziczył, lecz znał kto z nas co mu ma wyjść na złe, a co na dobre? Sieroctwo było dlań bodźcem, niedostatek siłą, obojętność ludzka dała mu poczucie godności człowieka.

Któż z nas wie i policzy ile mu Bóg zsyła

po cichu, tajemnie we śnie marzeniem, na jawie natchnieniem? ile rosy niebieskiej spada śpiącemu na czoło, które opatrność ubłogosławiła, ile w powietrzu żywota biorą piersi rozbite?— przypisujemy ludziom, światu, samym sobie, co się niewiedzieć z kąd bierze, co daje wiecznie czuwająca i otwarta dłoń, żywiąca razem muszkę, która jutro zginie, i bohatera co jak gwiazda przewodnicza wiekom ma przyświecać!

Sierota wychowywał się opieką Bożą niewidomą, która powoli czyniła zeń człowieka... sam sobie się dziwił kładąc do snu znużony i próżen myśli,— wstając napojony i silny. Nigdy eż nie wątpił i nie rozpaczał, a przeciwność wyrabiała w nim większe męztwo, silniejszy opór, pewniejszą nadzieję... Dziecko wsi i ulicy, nauczył się jak ptaszę wierzyć w ziarno rzucone dlań nad drogą, w niespodziane ratunki osu, w natchnienia sere zesłanych, w spójżenia płodne przyszłością, w siłę słowa.... w Opatrność. Wiedział, że gdy mu w wędrowiec sił nie stanic, znajdzie gospodę nad gościńcem, że błędna drożyna zaprowadzi go gdzie mu być potrzeba, że nawet pozorne nieszczęście zmieni

się w dobra narzędzie. A gdy płakał, to chyba nad słabością swoją co mu daleko pogłędnąć nie dawała, i łyzy zaraz ocierał ufności uśmiechem.

Dla czego wielki ucisk wyrobił w nim tajemną jakąś dumę? nie wiem, ale i w duszy świecie, siła wywołuje siłę, jeśli w prochu nie zetrze od razu, a wieleż charakterów wytrysły z poniżenia i zrodziły się odrzuceniem?

Słabi tylko giną w objęciach przeciwności, silni się karmią u jej piersi.

Takim był ten młody chłopak w górę pogodnie podnoszący czoło, na którym próżnobyś szukał wyraźnego napisu palca Bożego—oto człowiek! patrząc nań nie przeczuwać nie mógł; natura przeznaczając go na długie prześladowania, próby i walkę upartą, osłoniła w nim wielką duszę najpospolitszą powierzchownością, tak jak robaczkom toczącym ziemię daje kolor ziemi, a stworzeniom wód kolor wody. Twarz jego nie nie mówiła, ani obiecywała; spokojną była, startą, ciemną, i mijając ją nie doznawałeś wzruszenia jakie czujesz na widok ludzi co noszą na obliczu całe przeznaczenie i historią

swęj przyszłości. Oczy jego nie miały blasku, patrzyły spokojnie, nie śpieszyły się w świat po-
glądać, usta zdawały się nie mieć do powie-
dzenia, czoło nie promieniało myślą, ani się po-
marszczyło pracą i cierpieniem; twarz obumarała
się zdawała i blada, i młodości nawet nie kwie-
cił ją rumieniec.

Ale wpatrzywszy się w nią, dójrzałeś łatwo,
że nie była nlepioną z ciała wiotkiego, co rychło
wiednieje i osuwa się, ale z marmuru twarde-
go wykutą. Dla tego żadne przelotne wrażenie
wypiętnować się na niej nie mogło, żadne cierpie-
nie nie z niej nie zdjęło, nie jej nie dodało.

Uczucie przechodziło po niej jak woda deszczów
po starym omszonym kamieniu, który zczernieje
na chwilkę i osycha zaraz pierwszym słońca bły-
skiem. Twarz to była zagadkowa i tajemnicza
jak grób, wyuczona milczć, drażniąca swym
spokojem upartym, wiecznie na siedem zamknię-
ta pieczęci. Czasem poryw młodości wywołał
z niej iskierkę, błysk przelotny, płomyk życia, o-
świecił ją, ogrzał, otworzył, ale wnet nawyknie-
nie posagowe wracało, i cisza znowu ją swoim
odziewała całunem.

Znaliśmy go pod imieniem Milczka, a że nazwiska wedle chrztu, rodziców i świata, ustępowały tym naszym któreśmy sami sobie nadawali jak w dawnych wiekach— i Serafion został między nami z przydomkiem tym, który z nim pójść miał na całą drogę życia. Któż z nas zresztą przywiązywał się do nazwiska, i co ono wówczas znaczyło dla tych, którym się chwilami śniło, że będą głowami pokoleń nowych, nowój epoki, ludzkości nowój?

Milczek był sierotą jakich mało na świecie pełnym sierot, nie miał nikogo, nie znał nikogo, ani domyślał się czy spadł z niebios na ziemię, czy wyklął się z czarnej gdzies na zagonie skiby po wiosennym deszczu o wschodzie słońca. Nie żyli już ci co by mu byli coś o rodzicach powiedzieć mogli, dawno wypielgrzymował z tego kąta, w którym wypadł na świat, jak za mgłą widział pierwsze życia lata. Gdzies na Litwie głębokiiej, w ubogiiej chatce, mieszkali ci rodzice nieznani, którzy go tak nielitościwie odumarli w dzieciństwie, zostawując mu łachman nędzy tylko, a Boga za ojca i matkę i rodzinę.

Jeszcze nie powstał na nogi, a już wiedział,

że go nikt nie obroni od napaści, że się nim nikt nie zaopiekuje, że musi się wybić z tłumu albo sercem i modlitwą, lub piersią i pięścią hardą. Nieraz psy odbierały mu chleb suchy i z niemi najpiérwszój walki się uczył, a im więcej ran odbierał, tém więcej zyskiwał siły.

Rósł tak wśród ludzi i natury sam jeden nikomu nie dając serca, nie dzieląc się myślami, ale nie umiejąc nienawidzić i zazdrościć nikomu. Słabość tylko i niedołęztwo budzi te uczucia—silny wie że zdobędzie wszystko i czeka. Dzieckiem nie uśmieczał się mu dostatek ani marzył o próżnowaniu, pragnął pracy—czuł, że nią ma zdobyć wszystko.

Długo tak od wsi do wsi błakał się sierota, ten i ów wabił go ku sobie, ludzie przypatrywali mu się jak towarowi na sprzedaż... będzie li miał barki silne, dłonie twarde, a duszę wytrwałą? Chcieli go zaprzędz jak wołu, ale on już czuł opatrzném przeczuciem, że nie może zostać bydlęciem najemuń, że go gdzieś wyżej woła jakieś przeznaczenie.

Tak we śnie Kolumbus widział Amerykę, choć jój nie znał i Indią nazywał, tak dziecięciem Ale-

xander śnił zdobycze krain, których nie wiedział imienia— alboż maluczey ludzie w swój sferze nie są Kolumbami i Alexandrami?? Ileż to razy, gdyby wzrok nasz nie łudził się mniemaną wielkością, dostrzegłby cudów w kropli wody i bohatera w odartym włóczędzie?

Uśmiechała mu się więc wszystkimi ezarami swojego życia, wiosną jasną, bloniem szérokiem, swobodą dla piersi, pieśnią pastuszą, dzwonem kościoła, tonami przed gospodą w niedzielę, a może rumiaucmi ustami dziewczątek, które mu w oczy patrzyły, jakby zapytać chciały— Co ty tam masz w duszy?

On w duszy miał przyszłość? jaką?— sam nie wiedział jeszcze, ale dalszą, ale inną, nie krewnił się tu z nikim, przeczuwał, że pójdzie dalej.— Na progu chaty przyjmował chleb i płacił go pracą ochoczą, a milezącą, słuchał ich narzekan i uśmiechał się, a co słyszał i widział, odziewało go skorupą twardą, żeby mógł przetrwać i przeboleć co wiatry przyniosą.

W jednąj wsi zachcieli go wziąć do dworn, poszedł tam zajrzeć ciekawie a obojętnie; usiadł z niemi i poczuł znowu że tu jeszcze nie jego

miejsce... ale postawił kij, bo tu jakieś ziarno do posiewu spaść miało do jego torebki.

Wież nanczyła go nędzę znosić, dwór wyuczył upokorzenie siłą wewnętrzną odpychać. Bosy i odarty karmił psy pańskie, mył misy z których nie jadł, patrzył na dostatek, którego nie zazdrościł i nśmiechnął się pierwszej księżce, która mu tu w ręce wpadła.

Zrozumiał że w tajemniczych tych znakach była dlań przyszłość, że głoski te, które czytali wybrani, musiały zamykać zagadkę świata, życia i siły. Długo patrzył na niedostępne hieroglify, zazdrościł trochę tym co je mogli okiem przebiegając zrozumieć... nareszcie najął się za starcego pracować, aby mu ten stary pokazał klucz od zaczarowanej świątyni.

I gdy inni rówieśnicy biegli szalée, kładli się odpoczywać, on u świecy ogarka ślepił zdobywając sobie nowe i nieznanne światy, ku którym wiodło go przeczenie potężne. Martwym nauczycielem był dlań ów starzec, żywym własne siły, co tamten jak puste rzucił ziarno, w nim wyrastało kłosami, ale je polewał pracą ciężką.

Słowo wchodziło do ucha dzikim gościem z o-

czyma osłonięniemi, ale gospodarz rozbrajał je, rozdziewał, modlił, aż maskę z twarzy zrzuciło.

Wówczas z tego słówka jednego rozwijały się wstęgą niezmierzoną, myśli, pojęcia, obrazy—wszystko z czego się ono rodziło, co przy niém rośło, z czém kiedy sąsiadowało, o co się kolwiek otarło. Słowo to prowadziło z sobą całą rodzinę, krewnych, sługi, przyjaciół, sąsiadów, domowników, cienie pradziadów i maluczkie swe dzieciaki. Chłopiec wdumywał się w nie, wpajał i póty borykał się z niém jak Jakób z Aniołem, póki zwyciężone nie pobłogosławiło mu i nie zaprorokowało.

A stary co mu drżącą ręką martwe pokazywał głoski, gdy je nazad odbite z ust dziecka posłyszał, zdumiewał się, słupiał i powtarzał niespokojny:—Zkądże ty to bierzesz dziecino? Tego tu nie ma!

Dziecię nie wiedziało samo zkąd brało, czerpało w tej bezdni Bożej, w której zawsze pełno, byleś na brzeg jęj przypelzał, z której czerpią miliony, a śladu w niej nie masz ubytku... Sen mu przynosił myśli, nawiewał je wiatr, wyśpiewywali ptacy, podpowiadały robaczki.

Każdy grosik zdobyty w téj torebce dziecinnéj mnożył się, potrajał i rozrastał. Wkrótce jedyna owa książeczka nie miała dlań tajemnic, zapragnął ich więcéj, a pierwszą co mu się nastręczyła po elementarzu, była—Ewangeliczka.

Dawniej ktoś z nią chodził po siołach w niedzielę i czytał po chatach słowo Boże, i sypano mu groszaki, dawano po bochenku za te skarby słowa,—umarł ów Apostoł prostaczek, pochowano go na wiejskim cmentarzu po cichu, a książka została sierotą.

Nikt jéj po nim nie odziedziczył, nikt nie śmiał sobie przywłaszczyć, należała do wszystkich i do nikogo. Zjawiała się czasem na kuchni, czasem w przedpokoju, wędrowała z jednym do kościoła, drugi ją na folwark odnosił. Wszędzie, gdzie była, słowo z niéj jakieś zostało, myśl, iskierka ducha... I ten co najchętniej wziął ją w rękę nie mając co czynić, zamykał ją wstając zadumany, przejęty.

Często ona prorokowała, często odzywała się odpowiedzią jakby wiedziała o co ją pytasz, myśl i wątpliwość odgadując potajemną.

Żywy człowiek takby nie odsłonił twéj myśli

jak ona, ani tak święcie poradzić potrafił. Ileś ją razy otworzył w zwątpieniu, tylekroć odpowiedziała ci jakie jest lekarstwo na rany twoje. Cudowna owa książeczka nigdy się nie okrywała pyłem, bo ją ktoś codziennie otarł i tam z sobą zaniósł, gdzie najpotrzebniejszą była. Znalazł ją chory u nóg łoża, strapiiony na kolanach, wahaający się na drodze, którą iść był powinien.

I Serapion drugą ją zaraz spotkał na ścieżce młodości, a choć tam pokarm niebieski podzielony był oszczędnie po okrucu na każdą niedzielę, pożarł od razu wszystko, i nie odetchnął aż o twardą drewnianą oparłszy się okładkę.

Dopieroż podniósłszy czoło, spójrzał w świat... jakby go zdobył... Wiedział już wszystko i metę i drogę i czém się podeprzeć i czego obawiać i jak sobie niewierzyć a pilnować siebie.

Ale złym trochę stał się sługą, tak się przywiązał do swój Ewangeliczki, łapano go przy niej, gdy gdzieindziej mu być należało, odbierano mu ją nieraz gdy się zapominał, ale ona do niego, on zawsze do niej powracał. Nareszcie ktoś mu ją darował, nie zaręczam żeby ję sobie

sam nie przywłaszczył. Oboje wszakże byli sierotami bezpańskimi, a Ewangeliczka nie miała właściciela, jak Serapion ojca ni matki... przybrał ją sobie za siostrę i przyjaciółkę, a gdy raz uczuł że ją ma na piersi, już jój więcej nie porzucił. Jak się to stało, że nikt potem zgubionój księżczyńy nie szukał, że nikt nawet nie zapytał o nią? nie wiem.

Chłopezyua kładł się z nią spać, i gdy brudny swój zwijał siemieczek na plecach go w ciemny kątek wynosząc, nie powierzał pościółce skarbu, zabierał go i nosił ciągle przy sobie. Stara Ewangeliczka choć dosyć była gruba i spora, tak jakoś umiała przytulić się i ukryć przy piersi, osłonić sukienką, że jój nikt nawet pod nią nie dostrzegł.

Paniecze wyjeżdżali do szkół — bo wszędzie dla takich sierot znaleźć się muszą paniece... i nie sieroty im służą, ale oni są dla sierot stworzeni. Paniece wyrosną na wielkie kółki w płocie, które klasy społeczne rozdzielają, a sieroty... panują potem i im i społeczności...

I tu w sam czas Pan Bóg dał właśnie takich paniczów co do szkół jechać musieli wtenczas, gdy Serapion już umiał czytać i potrzebował się uczyć; a paniczom ktoś przecie bóty czyścić musiał i posługiwać, aby mieli więcej czasu nie robić. Jakim sposobem Serapion znalazł się na drodze Jegomości, gdy jegomość rozmyślał kogo by posłać z paniczami, nie wiem, jakim sposobem zebrało się na oporządzenie sieroty—nie jestem pewny—ale nie szło tu tyle o odzienie dla odartego chłopca jak raczej o to, by sługa paniczów o ich dostatku poświadczał i goły nie chodził.

Przyjechali do miasteczka, a jeszcze nie było mowy ani myśli nawet, żeby Serapion miał chodzić do szkół, a któżby bóty czyścił? ktoby izbę zabrukanał umiał? ale jak po obiedzie panów, słudzy i pieski i myszki żywią się okruszynami pozostałemi na podłodze, tak on gdy izbę umiółł, gdy bóty poszuwaxował, gdy wszystkie należne odebrał szturehańce,—karmił się xiążkami, które tam jak trupy na pobojuwisku leżały... Z razu przystępował do nich z obawą i strachem, jak dziecię do nabitj strzelby, ale powoli prze-

mijała bojaźń; przemogła ciekawość, i zaczytywał się, choć nie jeszcze zrozumieć nie mógł.

W Ewangelicze jego wszystko było proste, jasne a wielkie... świeciła ona jak słoneczko krągłe nad światem,— książki inne wydawały mu się jak małe lampki, w których pełno szrubek i knocików, szkiełek i prętów, a blasku nie wiele. I postrzegł Serapionek, że nie nie umiał oprócz Boga chwalić... ludzie zaś wiele innych rzeczy od niego potrzebowali. Zewsząd go coś nęciło do książki, spotykał się z nią co chwila jak z nieuchronnem przeznaczeniem, i nie rzekł jój nigdy— Czemuż mnie prześladujesz?— Od jednej przechodził do drugiej, do trzeciej, póki nie schwycił końca nitki co go wewnątrz tych klatek ciemnych poprowadzić miała.

Zresztą czego panicze klepiąc się uczyć nie cheieli: to on bóty im czyszcząc, minowolnie chwycił w powietrzu, a nieraz podszeptnął w złym razie zakłopotanemu paniczowi, gdy do wyprobowania przyszło. Nikt tam na to nie zważał, bo chłopiec miny nie miał sprytnój, spokojny był do zbytku, dowcipu nie okazywał żadnego, i o choty do popisu nie miał wcale— a był tam sta-

ry, stary bakalarz prosty co paniczów pilnował,— nie wiele on umiał, ale serca miał dużo i często poczeiwą łzę na oku.

Istota to była od urodzenia skazana na długie męczarnie, okryta już siwizną, nie skarżącą się nigdy, wzdychająca czasami, osierocona, samotna, chleb pożywająca w pocie czoła i ntęsknieniu,— w której mieszkała litość choć sam on nie doznał jęj od nikogo. Pracą własną powolną wyszedł on z nicuka na preceptora, z popychańczego posługacza na poważne krzesło mentorskie, na którym usiadł dla chleba— ale ono było rozpalonym roszttem, na którym piec się musiał. Ani żony, ani dzieci, ani brata, ani przyjaciela,— miał dwa wazoniki na oknie, stary kijek sękaty i papierową tabakierkę, którą mu ksiądz prefekt darował, rozczulony tém, że go z papierka zażywającego widywał. On paniczów przeprowadzał do szkoły, wyprowadzał na przechadzkę, udawał że im rozkazuje, a w istocie odwracał głowę, aby nie widzieć nieposłuszeństwa i bał się ich jak szarańczy. Tęskno mu tam było tak samemu słuchać z drugiej izby przekasów i pośmiewiska, których udawał że nierozumie. Dwa owe wazoniki, ta-

bakierka i kij sękaty nie wystarczały jego sercu, szukał do kogo by się przywiązał, ale ilekroć czulój przemówił, a lza mu w szarém oku błysła, nieickali od niego ludzie nie chcąc się dzielić niedolą, którój nie byli ciekawi, nad którą litować się nie mieli czasu. Tułał się biedny stary, aż myszy głodne karmiąc i ze ścianami rozmawiając czasami, tak mu życie ciągnęło się tęskno i smutnie.

Serapion i jemu z urzędu i jemu bóty czyścił, i jemu podłogę zamiatał, a nieraz zobaczył go stary jak ze szczotką stał nad otwartą książką i podsłuchiwał że paniezom podpowiadał.

—Toby mógł być człowiek z niego! rzekł w duchu... i przyszło mu na myśl, że onby lepiój sercu dogodził niż myszka, wazoniki i tabakierka. I dnia jednego poczał mówić do niego, a dwie dusze biédne porozumiały się łatwo.

—Słuchaj no, rzekł — tybyś nieprawdaż, chciał się neżyć zapewne? he?

—O! i jak!

—A czytać już pewnie umiesz?

—Umiém trochę...

— I słyszę że ezasem lekeye lepić od paniearów pamiętasz?

— Samo bo w głowę idzie...

— Myślisz zapewne, że ci da co nauka?

— Zrobi ze mnie człowieka...

— Nie głupio odpowiedziano! człowieka! mrknął bakalarz, choć nie wiem co to ty rozumiesz przez człowieka... zapewne lepsze odzienie, lepsze jedzenie i przejście z przedpokoju do izby— hę?

— A! panie profesorze... jabym chciał!— nie! nie o to mi chodzi, ale ludziom się na eoś przydać i sobie, być czémś, oświecić się...

— Dalibóg niegłupio! mrknął wstając z krzesła nagle pedagog... ale nauka mospaniećku nie zawsze daje bóty i szczęście. Ot jak mnie widzisz, mało nie od tego co ty zacząłem, a doszedłem do tego, że ze mnie drwią smarkacze, dla tego że mam nos gruby, zatabaczony i minę niepoczesną.

— Ale w duszy, profesorze, zarobiłeś na pokój!

— Hm! zkad on to wziął?... prawda, dziecko, pokój tych co są z Bogiem... prawda. I choć mnie się nie ze wszystkiém udało, czemnżbyś ty także nie miał spróbować.

Tak skutkiem protekcji pocziwego pedagoga, który z zapalem wziął się do ubogiego chłopaka, gdy ojciec paniczów przyjechał synów odwiedzić, wyjednano mu u niego pozwolenie chodzenia do szkoły nie uwalniając wszakże od czyszczenia bótów i zamykania podłogi.

Śmiano się z biedaka, który tak bardzo uczyć się pragnął, on sam pomagał do śmiechu, ale się uczył gorliwie i czego nie zrobił we dnie, dopracował w noc, snu sobie ujmując. Stary bakalarz żywo zająwszy się biedakiem, nieraz mu gasił kagańczyk obawiając się o życie jego i zdrowie, jak o własnego dziecięcia przyszłość.

— Co też to z niego będzie? mawiał zażywając tabaki, czy wielki człowiek? czy taka jak ja nieszczęśliwa ofiara, której gruby nos śmieszny zamknie wrota do wszystkiego?

Serapion tymczasem nie zrażony nawet śmiechem, począł uczęszczać do szkoły, siadł w ostatniej ławie pokorny, jakby prosił o przebaczenie, że się tam śmiał znajdować, i patrzył w oczy profesorów jak piesek zgłodniały, gdy prosi o chleba kawałek. Dla czego wszyscy powzięli ku niemu jakieś przywiązanie i litość? nie wiem, ale

najsroźsi zapatrywali się nań z zajęciem, słuchali go z podziwieniem, niepokoił się o niego więcej daleko niżeli o paniczów.

Ojciec paniczów, gdy Serapion po roku wziął nagrodę, której żaden z synów jego nie dostał, rzekł pociągając kołnierzyki wyżej uszów czerwonych.

—Niewiem po co się to uczy! Trochę to liżnie czegoś i potem na złe użyje... na co hołyszom nauka! pytam się na co im nauka? Chce-liście żebym mu pozwolił do szkół chodzić.... no! pozwoliłem... ale patrzajcie że mu to na złe wyjdzie...

Tymczasem, wbrew tym proroctwom, Serapion stawał się przykładem dla szkoły i podziwieniem wszystkich, gorliwością swą, pracą, skromnością i pokorą... Nie było dlań trudności, którychby nie przewyciężył, jak nie było istoty, którejby nie ustąpił z drogi... Szedł tak coraz dalej milcząc, po cichu, wytrwale, a bakalarz zażywając tabaki powtarzał.

—Otoż zobaczymy co to będzie! otoż zobaczymy!

Czasem zacierał ręce i mokre oczy rękawem

osuszał, to znów w chwilach zwątpienia wrożył same zawody i nieszczęścia.

Ojeiec paniearów zawsze utrzymując, że ubogiemu nauka więcej jest szkodliwą niż potrzebną, chciał Serapiona powstrzymać i corok to mówił:— Ale dosyć! na cóż mu już więcej! będzie z niego.

Ale ani go miał już prawa ani możności powrócić do bótów i szczotki, do przedpokoju i usługi. Wszysey byli za biednym chłopcem i spiknęli się, aby go uwolniono całkowicie od zależności wszelkiej, dla dalszej nauki.

Czyniąc to i uległszy powszechnym namowom, miał tę pociechę przynajmniej ojeiec paniearów, że poważnie wyrzekł do chłopca na rozstaniu.

—Pamiętaj-że,... iż nam winienesz pierwsze początki, i nie stań się niewdzięcznym jak wielu tobie podobnych...

Serapion rzucił mu się do nóg dziękując za to, że czyścił bóty i zamiatał podłogę, porzucił zresztą paniearów, bo sam na swój biedny kawałek chleba ucząc drugich mógł zapracować, i poszedł już dalej o swój sile.

To szczęście nie zawróciło mu głowy, nie podniosło go w pychę, zagrzało tylko i popchnęło...

począł pracować nad dziećmi, a nocą zawsze nad sobą, bo uczył się nie dla tego, aby mu dano pierwszeństwo, ale dla tego, aby umiał... a grosz zdobyty w pocie czoła cinał i skarbił na przyszłość.

W tym samym łatanym surducinie i bótach dziurawych, w których począł swe życie, kończył powoli szkołę, nie dając się zwrócić z drogi, ani upaść dumą. Była w nim wewnątrz może jako uznanie siebie, ale nie wychodziło zeń nigdy. Gdy się rozstali, czasem stary pedagog przychodził do niego jak do dziecka, bo za nim tęsknił—siadał na ubogiem łóżeczku i wypytawał troskliwie:

—Co myślisz czynić? dokąd zmierzasz?

Naówczas we dwóch roili o przyszłości, jaką to ona być mogła, a stary odchodząc powtarzał sobie po cichu.

—Ale to ciekawa rzecz, co też to z niego będzie!

Szczęściem, Serapion wybiwszy się z nędzy i zależności, niepoprzestał czytywać swój ewangeliczki, i ilekroć zużyła go praca mozolna, po-

wracał do niej jak do orzeźwiającego źródła, z którego pierwszą zaczerpnął ochłodę.

Dziwiło go to, że starszy, dziś w wyrazach które mu wprzód starczyły swoją prostotą, coraz głębsze znaczenie i obfitszy pokarm znajdował. Nie wyczerpywała się nigdy Ewangeliczka, ani spowszedniała dlań, z po za tych wyrazów tak pojętnych, nowe i jaśniejsze coraz promieniało znaczenie.

Gdy skończył szkoły, niespokojny pedagog przybiegł doń późnym wieczorem spojrzeć mu w oczy i wyczytać w nich radość i dumę, znalazł tylko spokój i zamyślenie. Student związywał swe książki, robił węzelki, gotował kij pielgrzymi, i znowu na piersiach złożony Ewangeliczkę, w dalszą wybierał się drogę

— Dokądże pójdziesz? zapytał stary...

— Do Wilna...

— Więc jeszcze się chcesz uczyć?

— Jeszcze...

— A potem? a potem?

— Któż to wie? Bóg jeden tylko... co mi los zdarzy to przyjmę...

— Daj Boże jak najlepiej... Któż wie? uda ci

się może, bo ty wytrwasz do końca... a nie zapomnisz tam o mnie?

I ścisnąć go począł ze łzami.

— Gdybyś potrzebował pomocy... dodał po cichu i nieśmiało.

— A! ojciec mój! — zawołał Serapion — czyżes ty mi jeszcze nie dosyć pomagał? Zostaw mnie losowi mojemu, ja ufam weni i mam nadzieję. — Bóg mnie poprowadzi!

Tak poszedł Serapion na wpół pieszo, pół na wózkach chłopskich odprawiając długą do Wilna drogę, a idąc nie marzył nawet. Twarda wola nie dozwalała mu śnić zbyt często, aby w rozczarowaniu sił nie stracił, i trzymał się na wodzach.

Dnia jednego ujrzał przed sobą w dolinie miasto, którego wieże błyszczące wznosiły się w górę modlitwą kamienną za ludzi, którzy u stóp ich pełzali, — serce mu bić zaczęło, stanął, odgadywać chciał co go tu czeka i wstrzymał się na brzegu dumania.

W pierwszych wrotach spotkała go twarz matki

Bożkićj, kłakł modlić się, i przyszły mu na pamięć wyrazy Ewangeliczki:

—Czemżcie bojaźliwi? małowierni? (Math. VIII.)

—Nie troszczcie się tedy o jutrze, albowiem dzień jutrzejszy sam o się troskać się będzie, dosyć ci ma dzień na swój nędzy. (Math. VI.)

A gdy wstał nezul na szyi uścisk dwojga rąk młodych i wykrzyk piersi serdecznój, a podniósłszy wilgotne oczy poznał towarzysza ławy szkolnój Albina, który stał przed nim rozpromieniony zapałem, uśmiechnięty, szczęśliwy.

—A! to ty Serapionie!

—To ty Albinie...

—Jakżeś tu przyszedł?

—Bóg mnie przyprowadził.

—I cóż myślisz dalej?

—Sam nie wiem.

—Chodź-że ze mną, jeśli nie masz iść dokąd! Myślałem o tobie... nie zginiessz i tu... jest nas kilku twoich kolegów... pójdziemy razem podpierając się wzajemnie...

Uśmiechnął się Serapion na te słowa, bo dusza jego nie znała strachu, i poszedł za prze-

wodnikiem... A po drodze z ust Albina lał się potok wyrazów, których on słuchał z obawą, aby się nie upić niemi; tyle w nich było szalu, tyle młodości i szczęścia. Jemu ani oszaleć, ani upojeniu uledez nie było wolno, musiał zimny, zamknięty w sobie przechodzić miasto gwarne, nie zdziwić się niezemu, nie dać oczarować i odurzyć; na każdą chwilę potrzebna mu była przytomność i siła nad sobą.

Cóż dopiero, gdy wpadł w to grono zachwyconych, rozmarzonych, pierwszy raz wolnych chłopaków, którzy go chcieli ciągnąć za sobą na wszystkie próby, w których swą młodość kapali.— Jemu nie skosztować nie było wolno, ani tych uciech, ani swawoli i pustoty, ani zawczasie się napić z kielicha życia, bo mógłby upaść gdyby mu zawróciła się głowa i nogi zadrzały.

Podał im rękę ze łzą w oku, i znówu jął się cichiej, surowej pracy— dla niego nie było młodości może dla tego, że całe życie młodem mu być miało. I tak szedł dalej, biedne dziecko sierota ku nieznaną przyszłości, którą musiał zdobywać powoli, mówiąc w swém sercu jedne

i wciąż powtarzając słowa...— Człowiekiem być muszę!

Albin, którego przezwało Fijołkiem, co piérwszy uściskiem powitał Scrapiona, a na jednéj wprzód siedział z nim ławie szkolnéj, cale był inną istotą. Jeden jest człowiek, ale jak dziwnie różny, jak odmienny od siebie, i z jak rozmaitych nieskończenie żywiołów zbudowana ta mozaikowa społeczność, w której każdy z nas jest innéj barwy i odcienia kamykiem!

Ten drugi urodził się w dzień wiosenny, na miękkih szczęścia poduszkach, kołysała go śpijąc matka wesoła, dzieciństwo prześnił w kolebce z wounego drzewa, na kwiatkach, a gdy świat poznawać począł, wszystko mu się uśmiechało.

Albin był delikatny i niewieściej piękności twarzy, wielkie niebieskie oko drżało w powiece wypukłej patrząc w świat z zamglistéj osłony łez, które nigdy nie wysychały, znać było na nim, że miłość nie boleść go wychowywała. Smukły a wiotki, w chodzie, w ruchu, miał

cóż niepewnego, bojaźliwego, staniał się jak brzoza od wiatru, słowo go przerażało, uśmiech nań działał i okrywał rumieńcem jak krew gorącym, wiatr przestraszał, człowiek onieśmiał, wszelka walka pobudzała do ucieczki. Cichy, spokojny, łagodny, prosił świata wejrzeniem oczów, ust uśmiechem, aby go nie wystawiał na próby ognia i boju — przeblagiwał Boga i ludzi, bojaźnią i słabością swoją. Wrażliwy jak wody powietrzna, odbijał wszystko co go otaczało, promyk słońca, chmurę przelatującą po niebie, błyskawicę, — powiew go marszczył każdy, cisza rozjaśniała, listek co nań spadł poruszał. Słaby, nie czuł sił w sobie, by o własną iść moce po świecie, potrzebował przewodnika i mentora, czepiał się jak bluszcz ramienia, w którym widział osłonę i opiekę. Szyderstwo najłżejsze zbijało go z drogi, słowo dwuznaczne osłabiało w nim najsilniejsze postanowienia.

Nauczył się marzyć w kolebce i snuł dalej marzenia swoje, przędąc do nich biorąc z otaczającego świata; a w tych snach na jawie układał sobie wszelakie szczęście dziś tak, jutro

inaczej, ale zawsze z jednych żywiołów miłości, pokoju, dostatku. Na niebie jego nigdy chmur nie było.

Nas wszystkich przestraszał biedny Albin tém nieprzygotowaniem do życia które rozpoczynał, tą wiarą we wszystko kruche, tém zaufaniem w wydzieloną sobie zawczasu na dziedzictwo kroplę niezmaconego szczęścia. Chcieliśmy go uzbrajać... ale na barki jego dziewięcie za ciężki był rysztniek, za wielka zbroja, a sama potrzeba włożenia jęj przejmowała go strachem, dając mu widzieć niebezpieczeństwo.

W duszy jego nieskalanej wszystko było jak w pieśni, jasne, rumiane, szczęśliwe i wiecznotrwale. Idąc zawsze się uśmiechał, mówiąc przymilał, rozezulając płakał, a ideał porывał go i mosił co chwila nad ziemię.

Myśmy wszysey więcćj nad tego syua obłoków byli dziećmi ziemi, każdy z nas zaznał już koleów, dotknał się cierni, sparzył u ognia i wiedział co go czeka, pilnując by wyminąć zasadzki;— on jeden nie domyślał się czarnych życia tajemnie, a gdyśmy nicostróżni odstawiali je przed nim, potrzasał głową z niedowierzaniem,— nie

śmiał przez grzeczność zaprzeczać, ale znać było z nśmiechu, że słowa nasze miał za jakieś bajki groźne.

Dla niego nauka była nowiejatem koniecznym ale nudnym, wydelikacenie zawczasu odjęło mu chęć do pracy, nie chciał się uczyć, bo marzył, bo mu pilno było zasiąść do uczty, którą już zastawioną widział dla siebie. Wszystkich kochał bez wyjątku, ale surowszych unikał i obawiał się, a wybierał sobie tych, co słuchali ochoczo jego marzeń i niepsuli mu przyszłości widniami groźnemi.

Przed niemi puszczał eugle, roił i malował świat jakiego potrzebował, a gdy mu się nie sprzeciwiali, całował ich i do bijącej piersi przyeiskał, obiecując z niemi podzielić wszystko co go czekało.

Poznaliście w nim jedynaka, którego nieopatrna miłość wypielęgnowała jak roślinkę czasem przed zimą i pierwszymi mrozy, wyżywi jeden dzień ciepły, choć po nim nie ma wiosny...

Dzieciństwo przysposobiło go do takiej młodości wątłej i dziewięziej. Gdy oczy otworzył, uśmiech macierzyński spotkał, gdy uszka nasta-

wił, piosenkę słyszał, gdy rączki wyciągnął, całowano je i tulono, gdy główkę pochylił, przyciskała ją do piersi matka... Nie tak nie grzeje jak miłość— więc dziecina delikatna i wątła. biała i różowa, którą lada powiew mógł ndusić, wyrosła śliczniuchna, wesoła i niemająca pojęcia ani nienawiści, ani boju, ani złego co ją może gdzieś za węglem czekało. Dawano mu czego zapragnął, ubierano jak chciał, a gdy zamarzył niepodobieństwo, obiecywano mu gwiazdy z nieba na jutro rano, nie śmiejąc ich odmówić— a nużby to zaszkodziło dziecięciu?

I pieszczoty matki nezyniły zeń jakby króla świata, który niepojmował by gdzie drudzy królowie być mogli, by się kto innemu niż mu kłaniał, by co doskonalszego nadeń gdzieindziej wyrosło. Ale zarazem miękeząc go, wpoily mu pieszczoty neznania poeziwe, litość łzawą, miłość gorącą, potrzebę kochania, obawę nienawiści.

Któż będzie miał siłę wyrzucać matce sierocie, której jedno pozostało dziecię, że je ukochała tak, i owinęła dzieciństwo złotą pieluszką macierzyństwa?

Długo, długo trzymała go przy sobie, ale nareszcie potrzeba było puścić w świat dalej ukochanego Albinka. Pierwsze jego kroki były jak gdyby dopiero zeń paski zdjęto, bojaźliwe i zdumione, świat mu się wydał inaczej niż z okna domu, ludzie jacyś straszni i napastliwi, serca twarde, łzy niewytlómaczone, okrucieństwa niepojęte.

Ale i tu jeszcze otoczono go, osłonięto tak, aby szkarady życia wpaść mu nie mogły w oczy, dobrano dlań nauczyciela niankę, nie pozwolono zamęczać pracą i podawano pokarm w eukierkach. Umysł jednak rozwijał się, a choć pamięć leniwa służyć mu nie bardzo chciała, nanka przyjmowała się łatwo i Albinck nie był z uczniów ostatnim. Oranżeryjny ten kwiatek błyszczał powabnymi barwami.

Patrzę nań ci nieszczęśliwi co życie spędzili w walce z losem, w trudzie niestannym, we łzach połykanych tajemnie, mówili sobie po cichu.— Cóż to jest za wybrany? Są więc wybrani, którym dano wszystko i wyłączeni co nie mieć nie mogą? Dla czego on tak szczęśliwy, po różami słanej idzie drodze, gdy dla nas została

ścieżka twardym zarzucona kamieniem? Jest-li to przepowiednia przyszłości, czy groźba straszliwa? Jak on wytrzyma? jak wytrwa burze, gdy przyjdą?

Ale dlań burzy nie było...

Miłość czy modlitwy matki, której siły są tajemnicą, obwarowały Albinka od wszelkiego pocisku, od wczesnego zepsucia, od łez eoby z oczów jego krwią płynęły. Kochali go wszyscy, a nikt rozezarowywać nie śmiał, błogo było każdemu spojrzeć na szczęśliwego i pocieszyć się w swój niedoli tym uroczym obrazkiem.

Strzegły go oczy i serca, bronili obojętni, i świat niezasłużonemu płacił za łzy matki i jej sieroctwo.

Szkoły dlań były odmienną tylko zabawką, towarzysze piastunami i sługami, nauczyciele niańkami, a nauka rozrywką... Szczęśliwemu wybaczano wszystko, bo rozbrajał uśmiechem jednym. Jedno spojrzenie zdziwionych jego oczu niebieskich, w których wечно lza krążyła, spase nigdy niemogąc, przełamywało gniew i spiknioną nań niechęć, a gdy nasrożonemu rzucił się w ramiona, któzby uściskowi nie uległ?

W szkołach nabywał głodn do domn, w domu mógł szkół i towarzyszków zapragnąć, zawsze więc miał nadzieję w zapasie i tkankę do haftowania swych marzeń. Czekala nań tu matka, tam posłuszni towarzysze, którym królował.

W szkołach śpiewał im poetyczną piosenkę domowego szezęcia, przy którym przygrzewali się ci, co pustką byli otoczeni; w domn spisywał swe zwycięstwa szkolne, a matka padała przed nim na kolana i patrząc w niebieskie oczy syna, płakała z radości.

Wyrosł bo lalczką śliczną! kształtną, białą, różową, z jasnymi włosy, których tak żal było ostrzygać! takim czulém dzieckiem, takim serdecznie dobrém stworzeniem—możnaż go było nie kochać? Kochano go jak kwiatek wonny, który gdy zdeptany w błocie spotka nawet przechodzień, jeszcze nad nim staje i pożałuje tak wątłej istoty nielitościwie zgniecionej.

A gdy przybył pod dach rodzinny, to go otaczali wszyscy i dziwili się mu, i płakali z radości nad pamięciem.

Innych czasem taka miłość psuje i szczepi

w nich samolubstwo, w nim jedną tylko bojaźliwość zasiała, ale nie znał uienawiści, nie umiał inaczej jak tylko z otwartemi rękami wyjść przeciw ludziom... pragnął, potrzebował być kochanym i sam kochał wszystkich.

Jeszcze siedział na ławie szkolnej, gdy już na piersi nosił zeschłe fioletki i suche listki jakiegoś,— dla tego dano mu to imię skromnego kwiatka, które z nim przywędrowało do Wilna. Ledwie wyszedłszy z dzieciństwa zamarzył o kobiecie, zapragnął miłości, a dziewczeczka sierota z którą się wychował, której rączki malutkie szyjkę jego opłotły nęskiem w ciszy ogródka jak raj pięknego— była już jego kochanką! Myśmy jeszcze latali za motylami i bawili się ptaszkami, gdy on już przeznal, że jest na świecie coś, co goręcej zajmuje i przyświeca życiu jaśniej, niż wszelka inna namiętność. Miłość jego była tak świeża, poetyczna, piękna i mila jak on sam, a tak niepohamowana jak dziecię pieszczone. Rośli razem, potem ich rozdzieliła szkoła, do której Albin z obrazem Anusi przyjeżdżał i o niej marzył, chodząc wśród nas zamysłony. Myśmy nie jeszcze nie widzieli przed

sobą, gdy on już sobie świat stworzył, Ewę postawił w raju i do bram jego myślami i żądzą się dobijał. Matka uśmiechała się z początku, Albinek tyle potłukł i powyrzucił zabawek, powiedziała sobie potem, to jedną więcej caeką, którą porzuci... zamilkła. Ale gdy ujrzała, że ezar nie przechodzi.... poczęła odsuwać Anusię, jednak się rozplakał i Aneczka nazad wróciła.

Albin skończywszy szkoły jużby był został się w domu, ale niepozwoliła matka i wymogła uściśkiem, że pojedzie od niej uczyć się jeszcze... Myślała nieboga, że tam zapomni Anusi, że się zerwie, że kochać ją przestanie, ale Albin pozostał wiernym zeschłym fijołkom i grzał się sercem, a serce niemi rozgrzewał. Myślała że Anusia pójdzie za męż, zdradzi poczeiwie Albina i uwolni go, trochę nawet pomagała do tego i nastręczała jój sposobność, ale dotąd Anna kręciła główką, nie chciała nikogo, śpiewała wesoło i nie zdawała się niczego pragnąć, tylko jak była swobodną pozostać.

Postrach przyszłości, rachnba na jutro jeszcze jój nie tknęły... miała ledwie rok szesnasty.

Z daleka pisywali do siebie, tęsknili, potem lecieli i spotykali się z umiesieniem. Miłość ta miała już dzieje długie, ginące w wieków pomroce, oboje nie pamiętali jej początku, jak ludy swęj kolebki, ale umieli na pamięć wszystkie późniejsze historii téj epoki... daty pierwszego uśmielehu, pierwszego pocałunku... pierwszego kocham ciebie... i dni szczęśliwe rysy wieknistemi, odmalowały się w ich sercach. W dziejach tych były enda niepojęte i legendy bajeczne... były przeczucia i sny, spotkania dziwne, myśli wspólne i odgadnięte o mil sto... a! czegoż tam nie było! A jaka przyszłość w gniazdeczku ze mchów i pyłów kwiatowych usłaném... roiała się obojgu, a jakie śpiewały jej pieśni anielskie...

Albin nie żył tylko Anusią, Anna uim tylko, ale się rozdzielić musieli i płakać. Nikt z nas nie śmiał sobie żartować z biédnego Albina, który najsroźszego rozbroić umiał rumieńcem i uściskiem; po eichu tylko szydzono z biédnego Fijolka, choć zaprawdę miłość ta była tak sliczna, tak czysta, tak rzewna i poczeiwa, że najzepsntszy z ludzi eo w seree wierzyć przestał, jeszcze by nad nią zadumał się i westchnął. On ją miał

za tak naturalną i konieczną, że się innym dziwił przekonany, iż mu się tylko do swoich nie przyznawali, pewien że każdy coś na piersiach nosić musiał, za czémś tęsknić, czegoś pragnąć i wyglądać.

Czytał najwięcej o tém uczniu, które go zajmowało, myślał o niém, żył niém, a resztę miał za dodatek mniej ważny...

Był go Anusia kochała, świat się mógł do góry przewrócić, a narody powymieć z moru i pozarzynąć wojną. Albinowi łzę by to wycisnęło z oka, ale nie zdawało się nadzwyczajnej wagi... miłość jego ważniejszą dlań była nad wszystko.

— Fijołkn kochanie, mawiano czasem do niego, możnaż tak utopić się w jedném uczniu? A jeśli los, wypadek, zdrada zakrwawia ci pierś, w czém znajdziesz ratunek? ku czemu się wówczas obróćisz?

On uszy zatykał słuchać nie chcąc i niekał.

— Nie mówcie mi nie, wołał, nielitościwi szydercy, niepohamowani sceptycy? Wyście inaczej stworzeni chyba! egoiści, zawsze o sobie myślicie tylko.

Zdawał się nie domyślać, że Anusia była dlań

obrazem odbitym własnej postaci, a miłość jego najszaleńszym z egoizmów przystrojonym poetycznie.

Ale mogliżeszmy go przekonać?

Król absolutny w domu, a po trochu królik w szkołach, gdzie matka wszystkim sowiec za pieszczoty dla niego płaciła, gdy pierwszy raz znalazł się w gwarze i tłumie wielkiego miasta już nie pierwszym jak był, ale niepostrzeżonym, zamieszanym, nie znaczącą jednostką,—zaboleć musiał nad tą nicością, ale ukrył pierwszą tę boleść swoją. Niedowierzającem okiem spójrział na ten przerażający dlań obraz żywszych barw, tłukących się o siebie ludzi, w którym walka widoczniejszą się dlań stała, lecz nie przyznał mu prawdy, powiedział sobie:—To świat fałszywy jakiś, wyjątkowy, źle ulepiony... to ludzie nie moi, to stan jakiś nie naturalny—dla czegożby się nie mieli kochać? iść z dłonią w dłoń, uśmiechać do siebie, pomagać sobie, ścisnąć się i całować, kiedy tak z tém dobrze?

Wszystkie żywioły świata, w które uwierzyć nie chciał, miał za złudne jakieś mary powiększone złęmi oczami, tłumaczył zbrodnię, przekręcał nie-

nawiści, przerabiał sobie świat na inny, żeby nie wyjść z téj atmosfery miłości, w której go macierzyńskie przywiązanie zamknęło.

Chodził też obcy wśród towarzyszków z fijołkiem na piersiach, oczyma w niebie i westchnieniem, a gdy śmiech spotkał, uciekał jak od szatana. On potrzebował tylko jednego wiernego towarzysza, przed którym by się mógł spowiadać, co by go słuchał ze współczuciem, i takiego znalazł w Serapionie naprzód, który nań patrzył jak na niewytłómaczone a cudne zjawisko, uznając go wyższą i wyłączną do szczęścia stworzoną istotą;—potém w zdrajcy Longinie... Ten nie sprzeciwiając mu się i kryjąc uśmiech szyderezy, dla jakiejś dziwnej przyjemności i nasycenia żywiołem całkiem sobie przeciwnym, wywoływał z niego wyznania i zwierzenia.

Longin był okrutnym zdrajcą...

Leez wy go jeszcze nie znacie, w kole współuczniów chodził pod nazwiskiem Alexandra Macedońskiego... Na ustach bowiem miał zawsze, że świat zdobędzie, ale tak głośno o tém rozpo-

wiadał, jak uparcie Serapion Milezek tał się ze swemi nadziejami przyszłości.

Longin uderzał na pierwsze zaraz wejrzenie nie nsty tylko, mową śmiałą, ale twarzą i postawą bijąc w oczy. Nie był to weale piękny mężczyzna, ale wysoki, barezysty, rozrosły muskularnie, silny w dłoni, na podziw śmiały, czoło nosił do góry i miał je wyniosłe choć wazkie, włosy na tył odrzucone, oczy piwne bez wyrazu, ale zuchwale w świat poglądające, usta pogardliwie wydęte. Na całej tój fizyognomij malowało się lekceważenie ludzi, a pewnoś niezachwiana i wiara w siebie potężna. Iluż to temi tylko dwoma o-rężmi zdobywa stanowisko, które zawsze prawie siłą i przemocą wydzierać losowi potrzeba.

Miedzy Longinem i Serapionem w początkowych dziejach i wydziale nędzy było wielkie podobieństwo, ale i różnica wielka. Serapion cały był w sobie, ten cały po za sobą, zdawał się nie chceć mieć tajemnic i ostrzegał z góry, aby inni ludzie następowali z drogi—obiecyywał wiele, groził i uśmiał się.

Nie wiem jakim był sam dla siebie, gdy się z sobą bez świadków oko w oko spotykał, ale

w ogóle dla braci nielitościwym... Nie na świecie dobrém i czystém nie widział, wszędzie pierwszy dopatrzył dziury, plamy i skazy, a gdy ich wyszukać nie mógł, póty obracał przedmiot, póty go gniótł i dusił, aż z czystego, ścierki powalanej nie zrobił. Tak samo nie wierzył w żadną wielkość i przez bohatera szpary, doszedzieć musiał nagiego człowieka.

W dziwnie zeszłym tén sercu panowało szederstwo i wielka miłość siebie, nie pojmował do czego by był niezdolnym i gdzieby dojść nie miał, a gdy mu przyszło stan sobie wybierać, uczynił to jak gdyby przed nim rozłożono do wyboru skarby ziemi, z których tylko sehylić się i wziąć miał co mu do smaku przypadło.

—Co zechcę to zrobić z siebie, mawiał, bajką jest, żeby człowiek do czegoś wyłącznie rozdził się zdolny... Dwa jest rodzaje ludzi, jeden do nieczego, drudzy do wszystkiego, ja do ostatnich należę i co zechcę to zdobędę...

Śmiano się z niego, ale on bynajmniej na to nie zważał, szydził zresztą tyle że wszystkich, że mu choć cząstkę jego sarkazmu oddać było można bez wyrzutu sumienia.

Longin był jak Serapion dzieckiem nbóstwa i sierotą, ale szczęśliwszym może, bo inną idąc drogą, nie ucierpiał ani upokorzeń, ani przeniósł tyle cichych boleści co biedny Milezek. Starszy był od wszystkich, ale wiek nie zrażał go i nie zbijał z torn najzuchwalszych nadziei, nie liczył lat weale.

Dzieciną wzięty był na wychowanie z łaski przez nbogiego krewnego, który zeń chciał to uczynić, czemu sam był, czynszowego szlachcica, rękę jego zaprzadz do pluga i kark nagiąć do praey,— ale nie wiem jaka siła w tój głowie le dwie nad kolebką podniesionęj, już jakąś myśl innych losów zasiała. Wszystko mu tam sierocie przyjętemu z serea i litości było już złém, wszędzie ciasno, ciągle prawil, że to dla niego mało, że musi wyjść z tego położenia. Stryj co go zrazu przygarnął, był prostym człowiekiem niewidzącym daleko, dał sobie niemal wmówić, że z Longinka coś się wielkiego gotuje dla familij i świata... Dziecko plotło, a starzy słuchali kiwając głowami i dziwując się wielce, a tyle tam było jakiejś przewagi w tój mowie śmiesznęj, śmiałęj, powtarzającęj się, że bosy dzieciak, przy-

jęty przez miłosierdzie do chaty, aby z głodu nie umarł, opanował stryja i stryjenkę, a za łby wodził braciśzków, których za nie nie miał.— Wy będziecie chodzić za pługiem, mówił im— a ja! zobaczycie! I uwierzyli mu w końcu. Nie wiedzieli wprawdzie jak do tego przyjdzie Longinek, ale cóżby przeczeń gadało, zkadby to wziął, gdyby nie było w nim z góry zasianego przecucia?

Szlacheć słuchał tego zrazu jak bajki, z której się wieczorem u komina śmieje, gdy ją dziad prawie pocznie, aż dalej, dalej, wiarc się przykładą, bajka opanowuje i dreszcz przechodzi po plecach, i lży się w oczach kręcą. Tak było i z tém sierotą dziecięciem, które największą porcją kaszy zjadało, łyżką po łbach tłukło młodsze dzieci, nigdy bez guzów z zabawy z niemi powrócić im nie dało, a ząb za ząb się kłóć, choćby je ubił, nie pozwoliło się przekonać. Upor Longina był heroiczny, dwadzieścia razy gotów był leść na drzewo, potłuc się spadając, ale uległki dostał, gdy mu się zanarzyła i potem ją nadkasiwszy za płot w kałużę wyrzucił. Nie na wiele się w chacie przydał, a pokoju z nim nie

było, rosło z nim co przyniósł gotowe: zuchwałość i zapamiętała wiara w siebie.

Szlachcie z żoną patrząc i porównywając go do własnych dzieci, nie mogli zrozumieć co to za krew junaeka płynęła w téj utrapionój sierocie. Przyszedł czas do pracy, ale go do niéj ani było zapędzić ani uprosić, przeciw przemocy stawał śmiało, oko w oko, z prośb drwił i śmiał się, gdy mu grożono wiedział co odpowiedzieć, osmagany nie płakał, ale się mścił po cichu. Czasem z drugimi dziećmi poszedł w pole, gdy mu się izba znudziła, ale psuł im robotę i miał przyjemność czynić na przekór. Gołębióm przewracał gniazda, kuny wywoływał umyślnie gdy latały jastrzębie, bydło od trzody odganiał, a koniowi żadnemu nie darował, póki go do upadłego nie zamęczył dosiadłszy. Żeby kogo kochał nie pokazało się nigdy, żeby zapłakał nawet ze złości nikt nie widział, bo się z płaczem ukryć umiał, tylko mu się wówczas zapalały źrenice i ręce drgały i wargi zacinał, a jak kozioł głowę w dół pochyliwszy, gotów nią był choć o ścianę.

Co inny może byłby wysłużył dobrocią, to on

sobie wyrobił nieznośném uprzykrzeniem; szlachcie widząc że z niego nie zrobi parobka, uwierzył że tam być coś musi co powołnje do innéj doli.

— Kto go tam wie, mówił, chłopiec musi przeczuwać... wyrywa się, trzeba się księżóm pokłonić i do szkół go oddać, mówią że tak nie jeden biskup z panprów wyszedł, a kto to wie! może będziemy mieli pomoc na starość.

— Ależ on nie na biskupa stworzony, kręcąc głową odpowiadała stryjenka, jak on ludzi paść potrafi, kiedy owiec nie umie, ledwie trzody dopadnie to ją rozpłoszy.

— Kto go tam wie czém będzie? to pewna że w nim siedzi jakieś ntrapienie, w chacie to nie wytrzyma i dalej nas wszystkich z niej wypędzi. Już go się inaczéj nie pozbędziemy tylko szkołami, przynajmniej nasze dzieci sińce nosić przezną...

— Pewnie że go potrzeba gdzieś oddać, rzekła potakując stryjenka, mówią że w szkołach ćwiczą, jak zaezną bić, to może z niego coś zrobią.

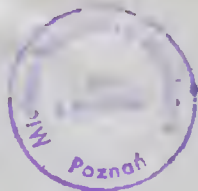
— Diabła się on im da! mruknął szlachcie.

— Ale co waś gadasz, Wawrzyńcze, lepiej oni go od nas zażyć potrafią, dalej dalej, gdyby

tu tak został, szubienicy by się mógł dosłużyć jak nie.

Uradzili tedy oddać go do szkół, i jednego poranku zlepiwszy mu odzienie ze starych szmat i łaachmanów, powiódł go szlachcie do miasteczka do księży, którzy tam szkoły trzymali. Ale nim z domu wyszedł chłopiec dobrze wprzódę się wy-
pytał dokąd go prowadzą, a na pożegnanie dał stryjecznym po kuksańcu, i przemyślając powrócić do chaty gdyby mu tam źle było, drogę sobie dobrze uważał i w głowie zapisywał.

Staryszek ksiądz prefekt, który tam rój wodził w szkole, miał to do siebie, że widział w sobie talent rozpoznawania z fizyognomij przyszłych wielkich ludzi. Brał on chłopaków z góry za czuprynę, obrażał ich twarzą ku słońcu i zajrzawszy im dobrze w nos, wyrokował nieodwołalnie co z nich ma wyrosnąć, bohaterowie czy bałwani. Pośrednich stopni nie było u niego. Mylił się wprawdzie często biorąc bałwanów za bohaterów *et vice versa*, ale to go nie zrażało, utrzymywał bowiem na swą obronę że bałwani, jak ich zwał miewają szczęśliwe na świecie powodzenie, a wielkie talenta często zagrzebane leżąc w proch się



rozsypują. Jemu więc zostawioném było w szko-
łach examinowanie kandydatów na paupry i przy-
jęcie lub odrzucenie stręczących się dzieci.

Był to zresztą bardzo dobry staruszek, powol-
ny, łagodny, któremu studenci kołki na głowie
ciosali, chociaż utrzymywał że się go obawiano
jak stracha. Wiedząc o tém dziatwa, jak sko-
ro się pokazał niby przerażona Jowiszowym wzro-
kiem jego, pierzchała z okrzykami na wszystkie
strony, a prefekt łagodził to wrażenie słowy czu-
łemi, przekonywając ich, że nie był Neronem ani
Kaligulą, ale trochę tylko za ostrym księdzem
prefektem.

I Longin więc przywiedziony został przez księ-
dza rektora wprost do księdza prefekta, który
już wiedząc o co chodzi, zażył tabaki, włożył
na nos okulary, poprawił pasa i ujawszy szamo-
czącego się dzieciaka za czuprynę, przyprowadził
go przed okno. Tu przypatrzwszy się téj ostrój
już w chłopięciu, wyrazistój i nieulękliwój twa-
rzy, bardzo się zamyślił.

— A cóż księżę prefekcie? — spytał rektor.

— Subjekt weale nie pospolity, odparł znawca —
ale to być musi szalona pałka?

— O tak! odparł kłaniając się szlachcic przytomny, nawet po części dla tego musimy go oddać do szkół, że nam się na nie nie zdał, takie to krnąbrne i zuchwałe dziecko.

— A co? a co? nieodgadłem, zawołał prefekt tryumfująco... ale u nas po użyciu moczonych różeg i dyseypilin... może z niego być człowiek, dodał poważnie... Chłopcze! chcesz-że się uczyć? ha? spytał po chwili czując potrzebę złagodzenia wrażeń.

— A czemuż nie! rzekł śmiało Lougin, juścić wolę jak paść świnie.

— Logika jest! odparł prefekt, prosta... wprowadzie, ale silna... wyrażona śmiało; to lubię, wezmę go do moich usług... Jednakże mi Jaśka zabraliście, księżę rektorze, a w moje ręce go wzięwszy, już ja go wytresuję po mojemu, zobaczycie co z niego zrobię.

Rektor się uśmiechnął.

— A nie lepiej by go było oddać księdzu Fizykowi?

— Za nadto łagodny, rzekł prefekt, ja to go dopiero ścisnę... bo to charakter potrzebujący rygoru...

— Oj księżunin dobrodzieju, szepnął szlachcie, może by jego ksiądz Fizyk nehodził, ale z przeproszeniem, Jegomości nie tak' z oczów patrzy, żebyście go mieli pokonać.

— No! no! bądź spokojny... już mnie to nie pierwszy raz, wiem jak i z kim... to już do mnie należy... zostawcie chlopea u mnie.

Szlachcie rad, że się tak łatwo pozbył niewygodnego synowea, drapnął do domu w najlepszym humorze, a Longin poszedł zaraz zapoznać się ze studentami. Ani klasztor, ani prefekt, ani Fizyk, nie go nie straszyle, w obietnicę moczonych różeg nie uwierzył, a to mu już pachło że kupę widział chłopaków, którym mógł sypać guzy i kulaki; i swawolić jak chciał.

Młodzież przyjęła go jak zawsze nowicyusza, zabierając się platać mu figle i upokorzyć przybyleca, ale ledwie się o niego otarli, poznali, że z nim nie można było żartować. Zamiast płakać Longin plunął w łapę i dalejże na całe skonfederowane wojsko jak Samson na Filistynów, zamiast szczęki oślej porwawszy kija, który tam właśnie leżał na podoręczu.

Pierzeły spłoszone zastępy, ale zwycięzca nie

przebłagał się ich porażką i grzmocił nieiekających, póki przerażony ich krzykiem ksiądz prefekt nie wyleciał z celi wołając:

-- Hola! co to jest!

W oczach tego surowego mentora, Longin wytrząsał jeszcze kilku i siłą dopiero pochwycony, przed trybunał, stanął w obliczu zagniewanego sędziego. Na zapytanie co by było powodem tego boju, wypowiedział śmiało, że został zaczepiony, a zatem inaczéj postąpić nie mógł i bronić się musiał.

Podobało się to księdzu prefektowi, który już miał słabość do malca, wszystkim kazano klęczeć godzinę (co się później na kwadransie skończyło) a Longin poszedł z palmą na śniadanie.

Pierwsze i tak pełne zwyczajstwo uzuchwaliło studenta, który od razu stanął na czele infimistów, a wyżej drugiej klasy rozciągał wpływ i władzę swoją. Położenie jego w komórce przy celi księdza prefekta, uczyniło go wkrótce ważną nawet dla retorów figurą, wiedział bowiem i mógł donieść kiedy ksiądz prefekt śpi, kiedy się na rewiję wojsk swoich wybiera, kiedy chory

lub źle usposobiony na dyscyplinę pogląda, a ze wszystkiego Longuś skorzystać umiał.

Z księdzem prefektem obchodził się zniehvale... i podbił go nadzieją, że wyjdzie niechybnie na wielkiego człowieka. Robił więc co mu się podobało, a koniee końców zawsze na swoim postawił; prefekt sam przed sobą ze zbytecznego folgowania Longinowi tłómaczył się jak mógł.

— Bo to, mówił, z takimi charakterami nie można iść przebojem — nmszę sobie i surowości, do której przywykłem, gwałt zadawać, a prowadzić go łagodnie, inaczéj wszystko bym popsuł... Można by tego szaleńca do wściekłości rozdrażnić.

A gdy ksiądz rektor nponimał, ksiądz prefekt ruszał tylko ramionami.

— No! no! no! już ja wiem jak sobie poeząć, subiektum wielkie, uczy się ogromnie, genijnsz wrodzony jest... ot co ważna, a charakteru inaczéj jak powolnośeią ugiąć i zmiękczyć nie podobna, bo to dusza hartowna i rzymskiego coś w niej jest! o! rzymskiego! mości dzieju! starożytnego!

Czasem, gdy był zmuszony nkarąć, prefekt niepokoił się ogromnie i szedł sam do ehlopea:

—A widzisz, mówił, a żal, a wstyd, a fe! a nie trzeba broić... no! no! na ten raz idź już, wstań i do roboty... tylko ten ostatni raz daruję, ale uchowaj Boże jeszcze mi co splatasz... o! o! zdasz mi rachunek i za zaległości!

Ale za każdym razem darowywał mu tak samo pod innym coraz pozorem.

Chłopiec z nim robił co chciał, gdy bótów nie wyczyścił, udawał ksiądz prefekt, że ich nie potrzebuje, gdy go nie posłuchał, zmieniał wolę i rozkaz, nie dając powodu do nieposłuszeństwa.

Longin panując tak, rozzuchwiał się do ostatka, a choć przywiązał się do poezji prefekta, śmiał się z niego ze studentami i z talentem go naśladował, sposób mówienia jego, ruchy, pogadanki, nawet głos jego zachrypiły udając doskonale.

Raz tak w korytarzu wszedł go sam ksiądz prefekt na tej improwizowanej komedii, ale nie dał mu poznać, że rozumiał kogo tam przedstawiał. W godzinę dopiero potem przyniesiono stołek i dysecyplinę nie tkniętą od dawna, a nieuprzedzony sędzia stanął nad winowajcą.

—Widzisz moje dziecko, mości dzieju, rzekł

zażywając tabaki, wszystko się darowuje, a niewdzięczności przebaczyć się nie godzi. Żartujesz sobie ze mnie, to dobrze, bardzo dobrze, ale gdy ci to płazem pójdzie, drwić sobie potem będziesz ze wszystkich starszych i z Boga... kładnij że się mościdgeju i *pro memoria* Jacek Kanafarz niech mu wlepi trzydzieści!

Longin zaklął się, że gdy go tkną dyscypliną życie sobie odejmie, począł się uniewinniać jako to czynił podlegany, zmuszony, w myśli niewinnej, prefekt się rozczulił i skończył na kazaniu z tekstu o niewdzięczności ludzkiej, przywołując Iwa Androniklesowego, dwa psy kulawe i szczura co sieci przegryzał... Longin wcale nie słuchał perory, ale bardzo był rad, że się od dyscypliny wykręcił.

Prefekt stracił trochę dlań serca, ale nie przestał być zawojowanym przez niego.

Całe szkoły wierzyły już jak stryj, patrząc na powodzenia Longina, że w przyszłości wielkie go muszą czekać losy, Longin gadał o tém sam, professorowie powtarzali, uczył się dobrze, a nawet gdy się trafiło lekcij nie umieć, gotów był

nauczyciela przekonywać, że on sam nie zna swego przedmiotu.

Wysokie też miano o nim pojęcie, a on o sobie wyższe nad wszystkich. *Quo non ascendam?*— mówił i powtarzał sobie nauczysz się trochę łaciny; a prefekt zażywając tabaki pomrukiwał także.

— Diabeł nie chłopiec... szalona pałka! gdzie daleko jestem pewny... tacy to świat zdobywają!

Świat jak świat, a tymczasem szkołę zdobył prawie Longinek, panując w niej sam i powagą ks. prefekta; szanował go nawet nieco ks. rektor, zdaloka obchodząc i niedając okazji do psikusa, za któryby go ukarać musiano.

Szlacheie stryj, gdy mu fantazja przyszła starszego syna trochę w szkole wytresować, musiał się synowcowi kłaniać, żeby go wziął pod swoją opiekę, a powróciwszy do domu po rozpatrzeniu się w tém, co się tam święciło, prorokował, że Longin musi wyjść na bardzo wielkiego człowieka, kiwał głową więcéj jeszcze niż mówił, i domyślał się, że może nawet zostać professorem.

Jak to szczęście, które mu tak stale służyło, wysuszyło w nim serce nie rozgrzawszy go, jak weszły do téj duszy szyderstwo i pogarda ludzi?— ja tego wytłómaczyć nie potrafię. Może widząc ich tak słabemi, tak uległemi, domyślił się Lougin, że na ziemi wszystko niemal zdobywa upor i siła, a najświętsze uczucie, gdy go wola nie poprze, rozplynie się we łzach uapróżnych. To wyrobiło w nim główną życia sprężynę, charakter i wolę niezłomną, a niemi nadstarczał co mu z innych stron brakło. Dla czego ani potrzebował kochać, ani chciał być kochany, ani czując się nim miał być wdzięcznym, nierozumiem weale. Może obawiał się zmięknąć i instynktowo hartując, do dalszych zachowywał zdobyczy.

Bali się go też wszyscy i tak przeszedł niższe klasy zwycięzko, przenosząc się z nich już silny i pewien siebie do wyższych. Nie było tu już ani księdza prefekta, ani dawnych towarzyszków, ale jak komu pójść to idzie, a śmiałość zawsze wygrywa. Na téj mu nie zbywało, ubóstwo było mu drugą podporą, przyjęli go towarzysze po młodemu, i nazajutrz był już jak w domu.

Nie był to umysł wyższemi obdarzony zdolnościami, który siłą swą podbijał i zmuszał do posłuszeństwa,—wola w nim i charakter robiły wszystko, a rzadko kto przeciw nim wytrzymać potrafił.

Do niczego nie miał talentu szczególnego, ale do wszystkiego po troszę zdatości, pojęcie łatwe, logikę naturalną, zdrową i wielki chłód w sercu, a ład w głowie, które mu przytomność zawsze jedną dawały i czyściły go panem. Nie unosił się i nie upajał chyba jednem szyderstwem, do którego miał i powołanie i wprawę w niem i niezbitą niezem śmiałość. Ten wyraz sarkazmu piętnował twarz jego nieenie śmiałą, oko uienkłe, postawę aktorską, ruchy przesadne.

Śmiał się ze wszystkich i ze wszystkiego, a słabości nawet i nieszczeście nie zmięczyły go, wszędzie na pierwszym planie widząc siebie, gotów był sobie wszystkich poświęcić bez wahania.

Taki człowiek nie mógł przepaść w tłumie, bo by się zawsze przebił przez ludzi, zagłuszył ich, zakrzyczał, a czego mu nie dawano, siłąby

pochwycił, dla tego ufał w przyszłość i ani wątpił, że będzie świetniejszą od marzeń wszystkich towarzyszków młodości.

Drudzy nań z niedowierzaniem poglądali, on na nich z litością.

Skończywszy szkoły miał już o czém dobić się do Wilna i choć grosza nie oszczędzał jak Serapion, nie dobijał się niezależności ofiarami, zebrał więcęj od innych zapasu na drogę.

Ale też najłżejszą swą posługę umiał ocenić, a o zapłatę się upomnieć, w razie zaprzeczenia jęj hałasować, i choćby z oporem przyszło wydrżać ją temu na kogo raz wyrachował, że mu coś dać był powinien. Tak się obszedł z rodzicami powierzonych mu dzieci, i choć część zebranego grosza zaraz zmarnował na hulankę, jeszcze mu go dosyć na Wilno zostało. Frymarczył wszystkiém, sprzedawał co mógł, pisał co kto zażądał, śmiał się potém z tych, których słabości lub łatwowierności służył, i szedł delęj wesoło.

Znało go wielu z tych co z nim na jednęj

siedzieli ławie, a gdy ze śmiałością swą przywędrował do Wilna, zrazu rozsunęli się i po-uciekali przed nim wszyscy, ale mało kto po-tém miał dość odwagi by mu powiedzieć— nie chcę ciebie.

Tu on też nieco odmieuną przybrał sobie fizyo-gnomiją i potrafił weisnąć we wszystkie kółka, których być częścią zapragnął; wszedł w jedne przebojem, w drugie grubém pochlebstwem, któ-re dla baczniejszych na szyderstwo wyglądało.

Wszędzie go było pełno i w końcu przywy-kliśmy do téj postaci, która w orkiestrze mło-dzieży stanowiła nótę odrębną, prawie potrze-bną... Był to zresztą użyteczny członek społec-zności jako wieczny sprzymierzeniec słabszych i uciśnionych; stawał w ich obronie, nie dla przy-jemności wspomagania, ale dla tego by grać ja-kąś rolę i waleczyć z silniejszymi. Gardłował, chodзил, bronił rozwijając działalność wielką, i tém sobie wreszeie pozyskał względy ogółu. Miał i ten takt, że rzadko z kogo w oczy szydził, ale nie było kogo by oszczędził pokątnie, a ka-żdy mógł sobie myśleć,— przynajmniej, że mnie nie zaczepia.

Ze strachu i przez niedbalstwo dano mu wziąć górę powoli, a co raz zdobył tego już więcej nie puścił.

Takim był Longin przezwany Aleksandrem Macedońskim z krzywdą dla bohatera, którego charakter nie zgadzał się weale z rysami tej postaci zuchwałej, śmiesznej, ale nie bez pewnych cech niepospolitych, do których należała odwaga wielka i niezachwiana wiara w to, że wola człowieka jest tajemniczą dźwignią, co światami wstrząsnąć może.

Konrad Popiel, wielkiego imienia dziedzic i chłopak bogaty, niedaleki sąsiad Wilna, bo majątność ich o kilka mil od niego położoną była, z rzędu czwartym się liczył członkiem tego studenckiego klubu, niemniej od poprzedzających zastanawiającym. Spójrzawszy nań widać tylko było pospolitego i przystojnego elegancika, którego mundurzyk z cienkiego sukna skrojony był według ostatniej uniwersyteckiej mody, płaszcz podbity karmazynową kitajką, fontaż chustki zawieszany szeroko, a czapka na bakier zawsze wło-

zona z niechęcenia. Na twarzy miłej i arystokratycznego kroju, nie—jak na pustej tablicy, uśmiech mało znaczący, rozbudzona mocno ciekawość, trochę niepokoju o to jak się będzie wydawać...

Ale zbadawszy strój i powierzchowność, łatwo odgadnął fizyognomista, że Konrad przedewszystkiem myślał i starał się o to aby się pokazać, zastanowić, zwrócić oczy, ściągnąć uwagę... Wszystkie jego czynności ku temu zmierzwały i może dla tego, że się już wprawił do grania komedyi na świecie, miał czasem minę lichego prowincjonalnego aktora. Często można było wysledzić u niego brudną rękawiczkę, ale schowaną pod płaszcz, rozdarty surdut misternie utajony— to wszakże co przeznaczonem było wyjść na wierzch, musiało się świecić i bić w oczy. Łatwiej by się był obszedł bez kawałka chleba, niż bez modnej kamizelki.

Majątny, chciał uchodzić za pana i magnata, dobrze urodzony dodawał sobie kasztelanów do genealogij, wiedąc ją z królewskiego rodu od Gopła i Kruszwicy;—ładny, miał się za Antinou-sa, dość dowcipny, zapożyczał się w koncepta eu-

dze, aby ich mieć więcej—słowem, życie jego stało na tém, aby otumanić ludzi i okazać im jak on wielki. W gruncie było to dobre, dosyć pospolite chłopię, poeziwe ale pełne niepohamowanej próżności, które ta namiętność co chwila popychała w niebezpieczne położenia, skazywała na zgryzoty i ledwie uratowanego cudem, miotała znowu na niebezpieczne wyprawy.

Wyglądał na pierwszy rzut oka na ładnego chłopea... ale tysiącem figlów nabytą była ta fizyognomija, która baczniejszego nie wytrzymała rozbioru. Zdaleka była to udatna maseczka, zbliżka typ starty i pospolity, choć co zowią dystyngwowany; nie podejrzrywano go żeby się biegał, moeno jednak wątpiono czy kolory miał naturalne i czy ich nieco nie ożywiał barwą przybraną, gdy niewczas czynił go bledszym, a interesująca bladość nie była mu potrzebna.

Nos jego miał ten kształt pośredni i niepewny, o którym nie powiedzieć nie można, prócz że gdyby nie to i nie owo, mógłby być pięknym rzymskim, greckim a choćby i polskim nosem. Jeżeli nie był piękny, nie był przynajmniej poczwarny.

Oko jedno zyzem trochę patrzyło, ale ostróżny Konrad drugie tak nastrajał, żeby się z niemi posprzeczać nie mogło, a to mu dawało minę człowieka poglądającego z melancholicznem zamyśleniem w głębinę przeszłości czy przyszłości.

Dla podwyższenia sobie czoła, które do zbytku było niskie, zdaje się, że je podgałał przy skroniach, miał przy tém trochę wypracowanego już częstém użyciem brzytwy, wąsika. Staranie jego o siebie przechodziło granice pozwolone mężczyźnie, muskał się, umywał, pomadował, fryzował i każdego dnia więcej podobno przesiedziało nad toaletą i paznogiemi niż nad książką.

W jego pokoju na widoku stał ów przyrządkom innym nie znany, szczotek, flakonów, kosmetyków, pilniczków, nożyczek, proszków i płynów na wzorzystej rozłożyny serwecie, z którego się naśmiewano, choć to nie nie pomagało. Konrad spędzał przy nim przed owalnem lustrem parę godzin zrana, parę o południu, a czasem jeszcze z godzinę wieczorem, gdy na bal lub maskaradę się wybierał.

Jakiemi prywacyami okupywał przepyszne fulary, które w kieszeni nosił, coraz nowe chust-

ki, kamizetki, łańcużki do zegarka, bóciiki i fantazyjne szlafrociki, nikt nie wiedział, ale się tego domyśleć było łatwo, bo nie można przypuścić, żeby rodzice dogadzali takim zachceniom.

Stał jednak osóбно, miał słuźącego i choć żył ze wszystkiemi dobrze, sposób jego życia z akademickim nie zgadzał się weale. Mieszkanie zakrawało na elegancika miejskiego, apartament, w którym student starannie się ukrywał, jakoby blegiego swego stanu nieco się wstydził. Książki nawet nankowe miały u niego minę francuzkich romansów, tak ślicznie były popoprawiane i poukładane porządnie w mahoniowej za szkłem szafie. Nielad, jaki w naszych mieszkaniach panował w porównaniu z tym wyszukanym porządkiem, był wprawdzie raźący, ale znaniounował pośpiech w pracy, z której wypływał. Nie było tam czasu przybierać mieszkania i krasieć, gdzie każda chwila była drogą i niepowrótną, nie myśleliśmy wiele o przyjemności dla oka, ale o korzyściach z nauk, które chciwie chwytał każdy.

Konrad w naszym gronie wyróżniał się bardzo, a choć instynkt wiódł go w inne towarzystwo, do którego się wkupywał, Bóg wie jak dro-

go płacąc za to,— nie opuszczał przecie kolegów i nie gardził niemi.

On to im przynosił wieści z salonów, anegdoty balowe i charakterystykę domów, do których inni uczęszczać nie mieli czasu.

Mówiłem już, że Konrad Popiel pochodził z rodziny znacznej, majątniej i mającej związki z arystokracją, do której należać pragnęła, rodzice jego mieszkali na wsi o kilka mil od Wilna, a syn dosyć dobrze dom ich przedstawiał. Miał on kilka siostr jeszcze i liczne rodzeństwo, więc choć majątek był znaczny, nie mógł się spodziewać bogactwa; mówił jednak o dobrach rodzicielskich tak, aby dać do zrozumienia, że kiedyś zaćmi wszystkich swém położeniem na świecie...

Wychowanie jego początkowe odpowiadało położeniu towarzyskiemu, boué miał niemkę, potem guwernera francuza, z nim nawet jeździł do szkół, gdyż obawiano się nadewszystko aby języka w gębie nie zapomniał... Nie był on wcale pieoszczony, ale starała się z niego matka zrobić ideał po swój myśli. O nie gruntowniejszego jój nie chodziło, tylko o przyzwoitość, o dobrą

manierę, o zręczne przedstawienie się Konradka w świecie, o prezencją w salonie; o trzymanie się prosto; o... zgrabność. Musztrowano go cielesnie, aby nabrał dobrego tonu i miał minę dziecka pańskiego, uczono praktycznie w salonach znalezienia się (bojąc się zapewne, aby jak drudzy co chwila się nie gubił—) ustawiano mocno na umiętność języków, zresztą co do serca i głowy spuszczano się już na łaskę Bożą i krew dobrą, która szlachetne uczucia zaszczerpieć miała.

Matka była elegantka i lubiła świat, niegdyś dziwnie piękna, a mimo dwudziestoletniego syna jeszcze bardzo przystojna i usiłująca resztę wdzyków zatrzymać, w przekonaniu, że są uprzywielejewane istoty, które się nigdy zestarzyć nie powinny— nie zastanowiła się nigdy inaczéj nad człowiekiem jak ze stanowiska salonowego. Kto nie był przyzwoity, dla niéj nie egzystował, nie należał do jéj sfery i świata, *n'était point de son bord*;— inne ludzkie przymioty ceniła dla oka, ale znalezienie się i pozor nadewszystko.

Wiedziała zapewne a raczéj czuła instynktowo, że w świecie takim pozor jest rzeczą głó-

wną, że w nim istoty prawie nie ma, a jeśli się co lepszego znaleźć to jakimś cudem dane przez Boga, ale nie wypracowane na sobie. O zasady więc nie troszczyła się wielce, gdyby nawet nieco odmienne były od powszednich nie mając nic przeciwko temu, boć i excentryczność popłaca. Jeden dowcip chciałaby była wszczepić swojemu dziecięciu gdyby mogła, ale tego się nauczyć trudno, choć są ludzie co go udają... To jednak nie łatwe młodemu, potrzebuje otrząskania się i wprawy.

Po bonie która Konradka piastowała dosyć długo, dano mu nauczyciela francuza i trafiono nie zupełnie szczęśliwie w wyborze.

P. Balard był ex-furierystą, ex-sensymonistą, ex-cabetistą, ex-chatelistą, a przy wszystkich exach pozostał marzycielem utrapionym, i stronnikiem reform społecznych nie powolnych i koniecznych, które czas sprowadza i postęp wyrabiać musi, ale radykalnych i gwałtownych. Fizyognomia stariej ludzkości istniejącej od początku świata wydawała mu się pospolitą i nudną, potrzebującą koniecznie zupełnego przeciszczenia. Chciał ją przerobić z gruntu i odbudować ina-

czéj, utrzymując, że człowiek się popsuł a raczéj nie najlepiéj został stworzony, więc się do niego tak wziąć potrzeba, zeby śladu nie zostało czém był przez pięć tysięcy lat. Nieprzyjaciel przesądów, nieprzyjaciel konwencyonalnych prawd, pewien był, że się ktoś musi trafić eo wedle nowego systemu zreformuje porządnie szczątki ludzkości i w nowe ją weźmie kluby. Wprawdzie te próby, w których P. Balard uczestniczył, całkiem się nie powiodły, bo w nich zawsze człowiek stary na wierzeli wyłaził, ale to dla niego nie stanowiło—utrzymywał że znać jeszcze nie trafiono na właściwą drogę. Zmuszony uchodzić z Francyi, gdy Felicyan Dawid, późniejszy autor symfonij Pustynia, uciekał do Algieru, a inni do Ameryki, bo mieszczaństwo i episierstwo górę brało—nie mając chleba, przywędrował do nas poświęcając się nauczaniu tego czego podobno sam dobrze nie umiał. Pokazało się bowiem, że w języku rodowitym liczne czynił błędy, nazwyczajwszy się używać go jak Bóg dał, a weale nad nim nie pracując. W gruncie rzeczy grammatyka zdawała mu się przesądem jak inne i staroświeckiem uprzedze-

niem, niekiedy nawet dowodził, że każdy człowiek ma swoją grammatykę wrodzoną i natężoną...

Zresztą choć trochę głupi, był to sobie niezły człowiek, spokojny byle mógł się o reformach wygadać do syta, lubiący deklamować, a przy spartańskich zasadach nawykły do wygod i smakujący w komforcie i zbytku.

Że powierzchowność jego była miłą, twarz ładną, a manjera jeśli nie salonową to oryginalną i wybitnie cudzoziemską, potrafił podobać się matce Konrada, która dlań poprzysięgła najwyższe uwielbienie. Deklamował tak, że gdy go nierozumiała nawet, co się najczęściej zdarzało, zaśłuchiwała się w wdzięcznej muzyce jego głosu. Miał i ten wielki przymiot, że choć demokratą panią nazywał *Comtesse*, a cały dom uhrabił. Ta inicjatywa jakoś tak była szczęśliwą, że się hrabstwo przywiezione w rękawie z nad Sekwany przyjęło.

Mały Konradek pierwsze swe zasady przejął z ust P. Balard'a, który nie mając często słuchaczy, gdy mu język świerzbiał wpadał w zapal przed malcem i długimi ogłaszał go mo-

nologami. Zasypiał przy nich czasem Konradek, ale coś zawsze pochwycił z tego słów potoku. Balard zaś tak mało zważał na to czy go kto słucha lub nie, że niekiedy, w gorętszych chwilach natchnienia, mówił do czterech ścian i stolików, gestykulując dziwacznie. Sam sobie odpowiadał, robił zarzuty, zbijał je zwyczajko i uspokojony nie zamilkł, póki systemu swojego do dna nie wypił.

System ten reformatorski nie był tak dalece nowym, składał się on z różnych okrucichów połączonych po świecie, gdyż Balard jak wszyscy pseudo-filozofowie francuzcy w zasadzie był eklektykiem, i pewien że prawda nie rodzi się od razu jedną i całą, ale się skleja z kawałków. Przechodził on z wielką łatwością od jednej opinii do drugiej, a każda nowa reforma znajdowała w nim żarliwego adepta.

W gruncie nie tyle mu może chodziło o odbudowanie świata nowego, ile o przewrócenie starego.

Konradek więc ucząc się niemal abecadła, dowiedział zarazem, że świat potrzebuje re-dykálnej kuracyi na zastarzałą chorobę chroniczną;— najdziksze utopije, jak obrazki latarni

czarnoksiężkiej przesunęły się przed świeżą jeszcze wyobraźnią i odpiętnowały na wrażliwego mózgu tkance. Nie dobrze umiał pacierz i to po francuzku do francuzkiego Pana Boga, ale w szkołach już począł na wzór mistrza myśleć o zreformowaniu społeczności. Nigdy mu wszakże nie przyszło do głowy, że chcąc coś poczynić najnaturalniej od siebie— a życie jego codzienne było gwałtowną protestacją przeciw słowom i ideom.

Fenomen ten spowszedniał dla nas, lecz niemniej zasługuje na uwagę— jak w jednym człowieku teoria może być biała, a czynności czarne, słowo niebieskie a sprawy karmazynowe? Gdzieś tam widać jakaś ściana dzieli w środku komórkę czczych idei i marzeń od skarbonki, z której wychodzą uczynki, i tak jedna połowa patrzy w lewo druga w prawo— *e sempre bene*.

Całkiem logicznych w życiu i jednolito zbudowanych ludzi trudno napotkać, są co gorzej mówią i myślą, a lepiej daleko działają, choć to rzecz jest rzadka, ale najpospolitsi tacy, którzy na języku uchodziliby za świętych, gdyby rąk nie mieli zabrukanych po łokcie.

Czém się to dzieje, nie wiem, ale dziś może w społeczeństwie naszym to rozdwojenie czuć się daje mocniej niż kiedy. Wszyscyśmy podobni do tego aptekarza, co leczy jakiémś panaceum całe miasto, ale gdy sam zachoruje udaje się po eichu do doktora;—teoryc nasze sprzedajemy drugim, a dla siebie kupujemy wygodniejsze.

Francuz także był nieco w tym rodzaju, mówił ciągle o zwrócić do pierwotnej obyczajów prostoty, potępiał zbytek, pluł na arystokracją, ale chłopca besztiał, że mu śmiał coś odpowiedzieć, a wygodę życia cenił wyżej dostojęństwa człowieka.

Co było w mistrzu, powtarzało się w uczniu. Konradek wyrósł na eleganta, na pańca, z daleka obchodził grube mundury i namulanych unikął dłoni, ale mówić umiał ślicznie o braterstwie ludzi, o równości ich, o szkodliwości wyrażenia się, o potrzebie niwellacyi. Francuz napoił go tak dobrze swojemi doktrynami, tyle mu ich rozmaitych dał do wyboru, że Konrad musiał zostać utopistą—to mu nadało barwę ciekawą i oryginalną. Matka wcale nie była przeciwko temu, czuła bowiem instynktowo, że ta paplanina do ni-

czego nie prowadzi, że Konrad mówiąc przeciw zbytkóm nie przestanie być elegantem, ani obsta-
jąc przy narodowościach, nie porzuci francuzechy-
zny. Najwymówniej nawet dowodził o piękności
polskiego, w języku francuzkim.

Zasady wszezpione przez Balarda sprawiły, że
w przekonaniu Konradka co tylko istniało, było
złe i do przerobienia. Zaczynał od tego, że ruszał
ramionami i śmiał się, a że krytyka zawsze ła-
twa, gdy przypiął parę łątek, choć nie miał pó-
źniej tego co zburzył zastąpić, wykręcał się ogólni-
kami.

Pomimo swój toalety i elegancyi, swych płas-
szczów i kamizelek, Konrad był surowym także
stronnikiem powrotu do obyczajów pierwotnych,
do spartańskiej polewki, do odzieży prostej, do
komunistycznego pozamykania ludzi w komórkach
na wyważonym chlebie i soli i pewnej ilości wo-
dy. Ale te jego reformy i teorye były także
płaszczami podbitymi pasowo i kamizelkami w kwia-
ty, na ulicy zwracał oczy podszewką, w salonie
utopijami.

W szkołach już wielkie czynił wrażenie, miał
przy sobie Balard'a, domi trzymali na stopie bar-

dzo wygodnej i dostatniej, chodzili do niego chętnie zmudzeni klepaniem jednych lekcji profesorowie i Konradek brał nagrody za to, że śmiało im w oczy patrzył, a zbić się z tropu nie dawał nigdy.

Śmiałość jego, choć w innym rodzaju jak Longina, była zaprawdę odurzającą, a upor miał w sobie coś kobiecego. Przyparty do ściany i przekonany o fałszu, w tejże chwili dowodził w żywe oczy, że on twoją opinią utrzymywał, i od początku ci mówił to, coś ty miał za swoje. Nigdy się nie dał zwyciężyć, bo zawsze wymknąć się potrafił— a gdy już do tego przychodziło, że dalej na stanowisku wytrwać nie mógł, wywijał koziołka i spychał cię w jamę, a sam zostawał na brzegu. W ostatku mocno krzyczał i tak długo, że go przeczekać nie było podobna, dyskusya więc zawsze kończyła się tém, że przegadał— a jeśli mu twoja prawda przypadła do smaku, to ją sobie włożył jak endzą czapkę przywłaszczając bez ceremonij.

Czego nie chciał nie słyszał, co mu nie było potrzeba nie rozumiał,— głuchł i ślepl kiedy to uznał koniecznym, konceptem się zasztukował, żar-

tem cię odepchnął, a że najmniejszej nie miał logiki, nigdyś go zwyciężyć nie mógł, bo ci skakał z trzeciego piętra na ziemię i z ziemi na poddasze, nimeś go mógł pochwycić za poły.

Zresztą byleby mógł deklamować, na wzór Balard'a, nie szło mu znowu tak bardzo jak skończy i przeciw czemu stawać będzie;— brał co z brzegu napadł, a choć nie daleko zaszedł z ciężarem, tyle młynków nawykręcał, że znużył w końcu najcierpliwszego i pozornie utrzymał się przy swoim.

W domu jak w szkołach miano go za małego geniusza w pieluchach, Balard wiele z niego rokował dla barbarzyńskiego kraju, któremu ta gwiazda świecić miała, matka obowiązkiem swym tylko sądziła wstrzymywać i hamować rozwój zbyt szybki umysłu tak znakomitego, zwracając dziecię ku światu, aby zbyt nagle nie wyolbrzymiało. Uwielbienie domowe, panowanie w szkole, pochwały nauczyciela, dały Konradkowi zrozumiałość potężną, chociaż źle mówię— pocziwy Konrad w gruncie przekonany był mocno, że jest osłątkiem i nie wiele umieć, ale udawał za-

rozumiałego jak wiele jemu podobnych, żeby się rozumniejszym wydawać.

Świetne te powodzenia póty trwały, póki ze szkół nie przyszedł czas przeniesienia się do Uniwersytetu,... Balard, który kawęczał na pedogrze, pozostał już na wsi na łaskawym chlebie, a raczej na bułce łaskawej, gdyż chleba naszego nie jadał,— a Konradek emancypowany przybył do Wilna.

Matka jego i Balard utrzymywali, że bardzo potrafi sobie dać rady na świecie, ojeiec trochę się obawiał niedoświadczenia, ale on tam nie wiele znaczył, służył tylko do przyjmowania gości i łajania sług, gdy był ku temu przez samą panią komenderowany. Konradek więc przyjechał do Wilna z kamerdynerem, z kredensem, z toaletą, z dosyć dobrym zapasem pieniężnym i znaną nam już zarozumiałością. Chciał on tu z nią iść dalej nieprzerwanym ciągiem tryumfów, i pierwsze robiąc znajomości, tak się postawił jakby o należne sobie panowanie upominał, ale wszędzie to łatwiej mu pójść mogło niż między młodzieżą, która ma instynkt świeży i nie mylny, a poznaje człowieka nie wiem jak, rzekłbym wę-

chem, bo pewnie nie z doświadczenia, ale nadzwyczaj trafnie.

Konrad był z kilkuset młodzieży ówczesnej, jedynym takim elegantem i paniczem; mieliśmy wprawdzie drugiego w tym rodzaju, ale tamten weale się z ogółem nie mieszając, na lekeye tylko przychodził, a w ulicy towarzyszków nawet nie poznawał.

Konrad może, gdyby także w niszy ołtarzowej za firankami pozostał, uchodziłby może za zjawisko ciekawe i istotę wyższą, ale jak skoro zstąpił z piedestału między prostych śmiertelników, gdyśmy mu pod płaszcz i pod czuprynę zajrzeli, okazało się tam więcej wiatru i nadęcia niż istoty.

Myślał zaćmiec towarzyszków i zrazu przysłuchiowano mu się uważnie, ale młodość nie ma lietości; jak skoro jeden, drugi złapał go na boku, a z szelestu słów nie się nie dało wycisnąć—urok pękł i Konrad został zdegradowany na prostą sroczkę wielkiego świata. Choć te zadania, z którymi występował, po większej części obce nam były—lepiej usposobione umysły oswoiły się z nie-

mi, wślad pobiegły za reformatorem i ile razy utknął, okrywały go nielitościwém szyderstwem.

Konrad wprędce postrzegł, że tu komedij grać niepodobna, że nie omami nikogo, i ostróźniej coraz występował na plac popisu, bo czuł żeśmy wymacali jak płytkim był w istocie. Smieliśmy się, ale że wiele miał dobrego w sobie i serce poczciwe, że się nie gniewał za gorzkie prawdy, a w cztery oczy pokorniał, byle go publicznie nie zbijać, że od nas nie stronił i owszem pobity zbliżał się do nieprzyjaciół, podaliśmy mu dłoń serdecznie.

Bawiły nas jego marzenia i ta łatwość z jaką umiał najdziksze plany reform tworzyć tak szybko jak domki kartowe;— nie trzymało się to długo, ale miało minę czegoś i pozór budowy. Nie-wyczerpany w opozycyi, przy lada zdarzeniu surowy uczynił rozbiór świata i wskazywał smutne jego kalectwa.

W nas wszystkich było po troszę skłonności do idealnego na życie poglądu, każdy sobie świat także przetwarzał, oczyszczał, stroił; więc choć Konradek bałamucił, chętnie z nim puszczałyśmy

się w te nadpowietrzne podróże, do których młodość dawała nam skrzydła.

A! smutny to już wiek, w którym człowiek na utopije i marzenia nie choruje, gdy się pogodzi z kałużą i wygodnie mu w niej, powie sobie: Tak mi dobrze— a reszta fraszki! gdy tysiące zawodów wzbudzi w nim niewiarę i pogardę człowieka! Myśmy naówezas jeszcze nie doszli do takiego odczarowania, każdy z nas miał swój ideał świata, wierzył że go piersią gorącą ożywi, że w nim zaszezepi miłość, zgodę, braterstwo, że poprawi, że wyapostoluje prawdziwych chrześcian wśród pogaństwa.

Dla tego i ciągle wpadający w niedorzeczność i sprzeczność z samym sobą, zapominający dziś co mówił wezora paniczek demokrata, był nam ukochanym bratem.

Sądziliśmy że lepsza myśl goła co się kiedyś w czyn wecielić może, niż sfałszowanie myśli na poparcie złych czynności. Nic dobre jest rozdwojenie w człowieku dowodzące słabości, ale ono lepsze może niż zupełne zaparcie się ideału, i podtrzymywanie krzywój drogi krzywszém jeszcze rozumowaniem. Z tego stanu rozdwojenia kie-

dyżkolwiek wyniść można, bo myśl i słowo choć nie rychło, choć częściowo pociągną do czynu, zrobi się choć maluczko, i to dobrze; ale zupełnie obłąkany człowiek, nie ma zasady, z którejby mógł się nawet odrodzić.

Konrad jakkolwiek się starał wygrać przed nami rolę myśliciela, wprędce okrył się śmiesznością; nie tailiśmy się przed sobą i przed nim z wrażenia jakie czynił, i powoli żartować poczęliśmy przy każdym spotkaniu. Nie zraził się tém wcale, ale podwoił dozę komedij i starań o popis, co podwoiło śmieszność. Konrad wszedł w lik oryginałów, których naszemu społeczeństwu nie brakło. Im więcéj się czuł upokorzonym jako genijusz, tém z gorętszém staraniem zwracał do paniczekostwa, stroju i elegancii. Dla nas zaś, jakby się chciał od żartów wykupić, był dziwnie uprzejmy, grzeczny, dobry i stał się co się zowie kolegą, i nie raz poświęcił wieczór w mieście dla towarzyszków, dał się nakarmić niepochwitem jadłem dla miłości ich, i zaszargał na przechadzkach, aby od ogólnie nie odstrychnąć.

W jego milutkich wyświeżonych pokoikach, każda wizyta czyniła rewolucję i szkody niepoweto-

wane—nigdy jednak nie syknął na to barbarzyństwo z jakim zabłocone buty szarzały jego kanapę adamaszkową, fajki popiołem posypywały dywan, a herbata plamiła mu serwety z kutasami, które pokrywały stoliki. Nieraz boleśnie uczuć musiał rozbity bursztyn wspaniały, złamaną antybkę i jaśmin, splugawioną posadzkę woskowaną, przewróconą toaletę—ale się śmiał i ścisnął dziękując za te dowody kolężeństwa i poufałości z heroizmem, który ocenić umiano.

Pomimo najusilniejszego starania o zjednoczenie się z ogółem duchem i dłonią, Konrad skutkiem wychowania swojego prawie domowego, mimo najlepszego serca, pozostał zawsze po trochę za obrębem akademickiego życia. Wszyscy tak zwani paniczycy, a szczególnie ci, którzy szkół nie przeszli, odrębnie wychowani byli, nie mogli się weilić w akademicką całość. Nie odbywszy nowicyatu ławy szkolnej, nie mogli być przyjęci do tego zakonu braci, ku którego ostrości przygotowani nie byli.

Z iluż to łez, szturchańców, kułaków i praktycznych życia nauk drobnych, składa się ten nowiciat straszny a potrzebny, to inicyowanie do ży-

wota, tyle nauczające głównych enót: pokory, miłości, szlachetnego wytrwania i ofiary dla ogółu! Student nie wiele uczy się w szkole, dużo nabiera złych nałogów przez zetknięcie z zepsutszemi od siebie, ale pomimo to, nie nie sposobi do życia nad ławę szkolną, w której wpaja się często boleśnie zasady najpotrzebniejsze na przyszłość. Dzieją się i tu niesprawiedliwości, bo ten mały światek jest minjaturą większego, ale jakże natychmiast na wierzech wypływa z właściwą młodości szecerotą— podłość, egoizm, bojaźliwość, sobkostwo zasłaniające się kosztem cudzym! jak srogo karać dzieci same siebie za zdradę!

Towarzystwo i opieka P. Balard'a, który z Konradem kończył szkoły i pilnował go, aby się z gawiedzią ubogą syn dostojnych rodziców nie pospolitował, uchroniła go od kułaków i zetknięcia z niemówiącemi po francuzku ekonomczukami, ale zostawiony sam sobie Konrad, poczuł że mu wiele brakło, że obcy był wśród tłumu, że ciężko mu było w nim się obyć i wyżyć w atmosferze, z którą nie oswoił się wprzód. Dobrą wolą i dobrém sercem nadstarczał za to co mu

brakło, ale cierpiał i bolał wśród swoich, nie czując się swobodnym i pewnym siebie.

Daleko lepiej mu było w świecie starszych, w salonach, do których uczęszczał gorliwie, zrzucając chętnie, gdy tylko okoliczności bezpiecznie to uczynić pozwalały, akademicki mundurzyk, gdzie się nie spodziewał zastać ani Pietraszewskiego, ani Giedrojcia, ani pocziwego wreszcie Zabłockiego. I gdy dla innych życie było jednolitem i jednolicem, bośmy je pędzili z sobą tylko i pomiędzy sobą, dla Konrada ono było podwójnem;—wpół akademik, na pół panicz, uczył się i balował, chodził na lekcye i na tańce, zdawał examina i kochał się w tylu przynajmniej pannach, ilu miał professorów.

W téj epoce młodocianej gorączki, któż nie próbował kochać i nie był zakochany po uszy? Ale rozmaite bardzo były owe miłości; po większej części kochano się w pannach widzianych na balkonie zdaleka, przejeżdżających w powozie, do których zbliżyć się nie śmiano, ani miano kiedykolwiek nadziei. Były to miłości rozpaczliwe, werterowskie, potokiem wierszy wylewające się na papier, kończące zmianą przedmiotu ubóstwia-

nego... Inni szczęśliwsi kochali się w pierwszej z brzegu pannie, którą wypadkiem spotkali w domu dla nich otwartym. Ta miłość trwała czasem i długo i objawiała się gorąco, póki rodzice ostróżni, gdy wybuchować zaczynała, nie zamknęli drzwi przed nosem. Naówczas ścigano bóstwo po przechadzkach i kościołach... a zaklinalo się w duszy:— Ta lub żadna!

Inni jeszcze kochali się w aktorkach, co czasem smutne wyradzało następstwa, lub pocieszne katastrofy, a najbiedniejsi kleili sobie ideały prostoty i naiwności z dziewcząt magazynowych i służących po kawiarniach, co także nie było bez niebezpieczeństwa.

Ale potrzeba serdeczna kochania objawiała się ogólnie i wyjąwszy tych nieszczęśliwych, co czystsze uczucia powziąć nie mogli, któż w mundurze chodząc nie kochał się? pod którymże nie biło serce pełne marzeń i nadziei.

Konrad miał to szczęśliwe nposobienie, że się mógł jednocześnie kochać razem aż we trzech pamiach, a póki na stronę jednej z nich nie przeważyla się szala, pałał miłością równą dla wszystkich, zmieniając przedmiot a trwając

stale w uczuciu. Rzucił potém razem wszystkie swe bóstwa, gdy mu nie dopisały, i brał inne, których stawał się wielbicielem na kilka tygodni... Skutkiem szalu zapewne, który go wówczas opanowywał gdy się kochał najgoręcej, najdziwniej kosiły mu się oczy, zapominał pilnować swego zéza, i prawie straszno wyglądał.

Nie wiem dobrze czy pozyskał serce czyje, to pewna, że o mnóstwo ich się starał, a co dla nich w ofierze zbrukał paljowych i białych rękawiczek—niepoliczona. Zawsze wszakże przedmiot jego miłości musiał stać na wysokim szczeblu;—najsłodsza panienka jak tylko nie bogata i nie mówiąca po francuzku, nie zwracała na siebie oczu jego, a w miarę niedostępności ideału powiększał się szal i miłość ku niemu. W paroxyzmie piérwszym namiętności, najmniej trzy lub cztery razy na dzień przejeżdżał dorózką pod oknami pani serca swego, której firanki lub służącą tylko miał przyjemność oglądać, gonił za nią do teatru, ścigał na bulwarach, przybliżał się na balach... a po odbytych zalotach niemych, zrażony obojętnością lub tknięty słowem dwuznaczném, opuszczał niewdzięczną..

Probował kochać się w męźatkach, ale przekonawszy się, że go to do nieczego nie prowadziło, bo prawie zawsze dowiedział się potem, że go ktoś cywilny uprzedził, wolał poprzestać przy platonicznej miłości panien, dla których mundur akademicki mniej był wstrętliwy.

Takim był Konrad, *unanimitalę*, okrzyknięty Mornsem, z powodn niewyczerpanych utopij, które miał ciągle na ustach; demokrata w słowach, panicz z pozoru, niewyglądający wcale na to aby miał wiele skorzystać z pobytu w Uniwersytecie. Uczył się tyle tylko ile koniecznie było potrzeba, żeby stopień otrzymać i przebyć egzamina, a że los stworzył go na obywatela, wybrał sobie oddział prawny, który niby najskuteczniej przygotowywał do życia obywatelskiego, do zawodu urzędnika, jaki go mógł spotkać...

Opuszczał dosyć dużo lekeyj, a gdy inni czasami grzeszący tém samém, mogli wmówić nieubłaganemu Gedrojeiowi i Pietraszewskiemu, że niedostrzegł ich w tłumie, nieszczęśliwy Konrad ze swym pąsowo podbitym płaszczem i kamizelkami tak bił w oczy, że się wyklamać nie po-

trafił. Siadał przytém w sali zawsze tak na samym widoku, że gdy go nie było, zaraz brak jego czuć się dawał dobitnie— niedostawało go widocznie.

W téj galeryi młodocianych portretów, którą przebiegamy na prędce, po Konradzie pierwszy się nam nastręcza Cyryll (mniejsza o nazwisko) u nas znany pod imieniem Studni Mądrości, z powodu, że tak chciwy był nauki, tak zajadły w nabywaniu jéj, iż mu ani jednego oddziału na który nieczęszczał, ani lekeyj, ani nauczycieli nie wystarczało, i dwa razy tyle pracował co drudzy.

Cyryll był synem parocha unity, poczciwego księżyny, staruszka, który swe posłannictwo wiejskiego kapłana przyjął, pojął i wykonywał jak nie wiele spełnić są w stanie. Jedyakiem był u rodziców, ale sam ojciec choć mu probostwo mógł zostawić, odradzał stan, w którym ciężko podołać brzemieniu jakiego na barkach spoczywa. Pastérz wiejskiéj trzodki, mawiał do syna, zbyt wielką odpowiedzialnością jest uciśniony—

musi być nauczycielem, przewodnikiem, sędzią, świecznikiem przykładu dla swój trzódki— a któż z nas godzien stanąć na tak wysokiem stanowisku, przy którym błędą i maleją największe na pozór i najświetniejsze społeczne missye innych ludzi?

W ubogięj sukni, w położeniu pokorném musi to być naśladowca Chrystusów, godzien dziecię Boże piastować na rękach czystych, wielki charakterem i nieposzlakowany w nezyukaeh; musi to być pracownik niezmordowany, stróż nienępio-ny, bo za wszystkie dusze, których na ramiona nie weźmie i nie przyuiesie do wrót niebieskich, odpowiada, a Bóg jako Kaima o brata spyta go o nie:— Gdzie je podziałeś? I nie odpowie jak Kaim, że mu ich nie powierzono...

Ojciec tak przeraził Cyrylla trudnością podob-łania obowiązkom wiejskiego plebana, że go od duchownego powołania odstręczył; a że młode chłopię okazywało dary szczególne, pamięć szczeg-śliwą, ochotę do pracy niezmierną, sama natura wskazała mu drogę przez naukę do znaczenia i chleba— ojciec przyjął to z pokorą, posłuszny objawiającęj się woli Bożęj.

Cyryll także był dzieckiem wioski, i na dziecię zdrowe i silne wiejskiej chaty wyglądał. Nie był to piękny mężczyzna, ale człek zdrów, silny, nieuderzający ani czystością, ani regularnością rysów, przecież coś poważnego mający w fizyognomij i wyraz jakiś obudzający ufność i wiarę. Czoło panowało téj twarzy uspokojonéj, zamyślonéj, trochę przedwcześnie podstarzałéj. Wydawał się też daleko dojrzalszym niż był w istocie, i znamiona statku i powagi uspokoiły oblicze, któremu brakło może świeżości i wdzięku. Była to jedna z tych twarzy co nie kwitną, ale też nie przekwitają.

Pod szerokiém i wzniosłym czołem uderzającym rozmiarami, świeciły oczy czarne, bez wielkiego ognia, z wytężeniem spokojnem poglądające w głąb człowieka i świata. Wzrok jego nie był ciekawie roztrzepany i ruchawy, ale przywiązywał się i wpajał tak głęboko w przedmiot, że gdy z niego zszedł, już go sobie przyswoił, i część jego zabierać się zdawał z sobą. Usta wczesną się także oblokły powagą i rzadko kiedy uśmiechały; nadto surowo od razu przy-

wykał na życie spoglądać, nie w niém dłań nie było śmiesznego.

Cyryll z natury był powolny, zamyślony, mało mówny, ale nie nie czyuił też na lekko, i czy co pomyślał czy wyrzekł, brał do serca, obiecawszy musiał dotrzymać, choćby go to najwięcej kosztować miało, czy dał sobie czy komuś słowo, zacząwszy dokończył, z pół drogi nie zawróciło go zniechęcenie. Wcale nie samolubny, poświęcał się po ciehu; o tém co czyuił lub zamierzał robić nie mówił nigdy, nie pochwalił się, nie podniósł, nawet obwiniony nie łatwo chciał oczyszczać. Było może trochę dumy w tym charakterze zamkniętym w sobie przez uczucie godności, ale niemającém z czém taić. Dla niego jedyną wyższość stanowił umysł, wykształcenie, nauka, a wreszcie uczynek— błyskotki nie miały go wcale, nie kłaniał się im, ani bogactwu, ani imieniu, ani towarzyskim położeniom;— powierzchowność dumna nie onieśmiewała go, władza nie obudzała postrachu, jaki na miłości własnej przerażonej o sobie czynić zwykła, gdy ją dotknie coś co podrażnić lub upokorzyć może.

Wszystkie te wielkie i gruntowne przymioty Cyryll winien był ojcu, który niepospolitym był człowiekiem przy swém ubóstwie i położeniu pokorném, i matce godnie posiłkującej starcowi w wychowaniu jedyne go syna.

Żadnemi oni nie karmili go złudzeniami, a smutna rzeczywistość krzyżowej drogi życia zawczasu odsłoniła się oczom Cyrylla;— nie miał prawie dzieciństwa i młodości, ale ciepło serca nie wygasło w nim, rozżarzyło się owszem, i tak był zbrojny na wszelkie życia wypadki, że nie dlań niespodziewanego nie mogło go spotkać, bo na wszystko był gotów.

Ojciec Cyrylla, którego dziad i pradziad przesiedzieli na jedném wiejskiém probostwie, nie był okazałym ani sławnym, ale w istocie na swém miejscu wielkim człowiekiem, i na wszelkiém stanowisku jakieby zajął, równieby się odznaczył. Uczył się czytać na Piśmie Świętém, nie znał nic nad nie i Ojców Kościoła, świata mało, kątek swój, swoich parafian i obowiązki, ale nie zazdrościł nikomu i zdawało mu się, że berło piastuje...

Napojony przekonaniem, że powołanie jego

świętém było i wielkiém, że życie całe i siły poświęcić mu było trzeba, oddał mu się duszą i sercem. Pokochał lud, któremu przewodniczył, służył mu zapomniawszy o sobie. To też więcej tam był niż proboszczem—gospodarzem, ojcem, sędzią, pośrednikiem, stróżem, a plebanja dniem i nocy stała dla wsi otworem, i nie było doby, nie było nocy, by ktoś do niej nie zapukał przychodząc po radę, pociechę, pomoc, słowo, modlitwę.

Zwykle do tego stanu przywiązywała się jakaś chciwość grosza, skępstwo, pragnienie zbiorów i egoizm, który się wyraził w różnych dotąd znanych przysłowiach—ale nasz stary paroch od tej słabości całkiem był wolny. Miał jednego tylko syna, i dla niego spuszczał się na opatrność Bożą, braterstwo ludzi, pracę własną; na swą starość nie miał obawy o chleba kawałek, żona zresztą podzielała jego spokój, i często w ich spiżarence ubogiej, gdy ostatni garniec mąki na podsitkowy chleb wychodził, uśmiechano się tylko do opróżnionej bodni, jakby z ciekawości kto też ją napelni, nie wątpiąc, że ręka Boża czyjąś tam dłonią przysy-

pie. Nigdy też nie zabrakło chleba, bo się nim dzielono z ubogim i z chłopkiem i ze psem nawet bezpańskim, co głodny zawył przed wrotami. Dobrodziejka tak była miłosierna jak on sam, a że się nie wstrzymywali oboje, robili więc więcej dobrego od wielu zamożniejszych.

— Jak jejmość myślisz, mówił paroch widząc nagiego dziada podedrzwiami, nie ma mu co dać, a stary płaszcz, którym ja się w nocy okrywam wcale nie potrzebny, to czysty zbytek chować go... Moznaby mn go dać, a jabym się wyśmieniecie okrył kielimkiem.

— Ale zapewne mój ojcze, odpowiadała księżdżowa... — i stary i dziurawy, kielimek cieplejszy, u nas to się wala, a dla ubogiego, to będzie wielka rzecz taki przyodziewek, nie zmarnuje się łachman przynajmniej.

I we dwoje potem wynosili stary płaszcz, a nieraz pod równie dobrym pozorem, i co nowszego. Ktoś im był parę łyżek srebrnych darował, ksiądz je bardzo lubił, leżały schowane w szufladzie z najdroższymi sprzęty, ale przysła wiosna głodna, i jedną Jejmość sama wyniosła ukradkiem by zboża kupić dla chłopka,

drugą tając się ksiądz sprzedał na wołu do sochy, który księgosusz rozpręgał ubogiemu, oboje kryli się przed sohą, a gdy nareszcie prawda wyszła na wierzch uściskali się w milezeniu.

— A po co próżno miały w szufladzie leżać! — zawołali oboje... — tak lepiej.

Życie pocziwego parocha płynęło spokojnie i jednostajne jak mało jemu podobnych. Rannemu dzwonek budził go do cerkiewki, w której codziennie mszą świętą odprawiał, schodzili się na nią żona, domownicy nie zajęci pracą w powszedni dzień, a często słuchali i wieśniacy starzy, których nie przynaglała robota; młodszy zaś mijając wrota zasłi przynajmniej pokropić się święconą wodą u progu, przeżegnać, westchnąć, myśli o Bogu zacerpnąć na dzień znoju.

Cerkiewka była jakich tu nas najwięcej stało przed laty, starszka drewniana, niepokazna, ale tysiąc razy miłsza swą poważną starością, niżby najnowszy i najsmakowniej a chłodno wystawiony świeżo Kościół. Wszystko w niej było pamiątką, każdy z ludzi miał tu swoje ulubione miejsce, ulubiony obraz i jakiś dar na ołtarzu. Jeden sprawił firanki, drugi kupił świe-

ce, inny wyrządził chorągiew, a nawet stare gosposie widziały na grubych lichtarzach obwity len, który ofiarowały na cerkiew, aby im poszczęścił się na zagonie. W dniu świąteczne ubierano starszuskę kwiatami, potrząsano podłogę tatarakiem, ostawiano ściany zielenią.

Nic było tu ani pięknych obrazów, ani bogatego sprzętu, ani przyborów kosztownych, z lepszych tylko czasów została złocista monstrancya, kielich wyrabiaany, krzyż srebrny, i N. Panna w głównym ołtarzu miała kilka wotów przy pięknie i misternie trybowanej sukience. Obok jej wizerunku świeciły kilka blaszek wotałnych ofiarowanych przez zamożniejszych parafian, ale ręce, nogi i serca ulepione z żółtego wosku, pozawieszane na prostych sznurczkach, kto wie czy nie większym były darem nad srebro i złoto. Wisiał tam i nie jeden pierścionek ślubny i spinaka od żupana z dawniejszych jeszcze czasów, świeciła nawet gwiazda szambelana dawnego wiośki dziedzica.

W bocznych ołtarzach Ś. Mikołaj i S. Bazyli stali w uroczystych szatach, błogosławiąc ludowi swojemu. Półtora sta lat bytu nagromadziły tu licznych

darów i pamiątek skromnych, lecz wiele mówiących; wiedzano kto posprawił chorągwie, kto oprawił ołtarzową ewangelję, zbudował rzeźbioną chrzcielnicę;— wicśniacy przywykli byli do twarzy rzeźbionych aniołów otaczających ołtarz i ambonę, do małych obrazków poprzybijanych na ścianie— a ileż to pokoleń przeszło z szeregu bratczyków kolejną na cmentarz za wsią.

Dawniej pole umarłych, rola święta otaczała cerkiewkę, dziś przeniosła się dalej pod kapliczkę na polu, ale stare mogiły, na których gdzieś stały krzyże, czerniały jeszcze pomiędzy lipami.

Paweł kochał swoją cerkiewkę jakby narzeczoną, codziennie przedemszą i po mszy musiał ją obejść razy kilka i szczegółowo obejrzeć czy gdzie nie było dziury w oknie, czy dach nie zaciekał, czy się co nie popsuło przy ołtarzach.

Swoją ręką poprawiał zaraz uszkodzenia, a gdy podolać im nie mógł, odwoływał się do parafian i w rzewnych wyrazach żądał pomocy, której mu nigdy nie odmówił lud do niego przywiązany.

Zaraz po mszy powracał wolnym krokiem do plebanij, gdzie najczęściej u progu czekali już nań różni ludzie z prośbami i o radę.

Zasiadał latem w ganku na ławie, i tam jakby *inter leones* odbywały się te pocziwe wiece, te sądy chrześcijańskie, które sobie miał za najświętszy obowiązek. Nieraz ojciec przychodził radzić się o dziecko lub krnąbrne przyprowadzał, aby z ust staruszka prawdę usłyszało, żona przybiegała z żalem na męża, mąż na żonę, a gdy winnego powoływano, nigdy nie zaprzeczył téj władzy szanowanój, którą świętość parocha czyniła nienaruszalną. Słuchali go wszyscy chętnie, a że cichemu jego i skromnemu życiu nie zarzucić nie było można, że czynności jego w zgodzie były z Ewangeliją, którą im czytał i wykladał, nigdy się żaden nie podniósł przeciw niemu.

Prosta to była postać z twarzy do otaczających wieśniaków podobna, tém dla nich większa, że żyła ich życiem, w takiój prawie jak oni mieszcząc chacie, tymże powszednim kontentując się chlebem, suknią szarą, nie wynosząc się nad nich, ani pragnąc od nich oddzielić. Całą wiel-

kość kapłana stanowiła świętość i zaparcie siebie dla drugih.

Chociaż musiał jak wieśniak na chleb swój pracować, bo od gromadki swój mógł mieć mało, a nic nie wymagał, stary pleban nie bardzo się zajmował gospodarstwem, a szło jedną łaską Bożą, tak, że głodu nie cierpiał. Nie posłyszałeś tam skarg zbytnich na nieurodzaj i klęski, a gdy się nie powiodło, znalazła się zawsze jakaś misternie utworzona pociecha, by gorzki kęs osłodzić.

— Ot i dobrze! mówił paroch... chwała Bogu, że nie urodziło, człekby zabogaciawszy o Bogu zapomniał, nie miałby powodu doświadczenia pokory, z którą do pocziwych ludzi udać się musi o pomoc, a oni by zręczności nie mieli spełnić dobry uczynek... Wié Pan Bóg co robi!

Było to jego ulubione często powtarzane przysłowie, które jak ogólne lekarstwo do każdej przykładał rany.

Jeżeli na ławie zasiadłszy nie doczekał się nikogo zrana, szedł potem z książką nabożną na pole, rzadko na swoje własne, częściej tam gdzie

pracowali ludzie, gawędził z niemi wesoło, czasem usiadłszy na snopie zagadał się do połu-
denka i nie rychło na plebaniją powracał. Te
jego pielgrzymki zawsze coś dobrego przynio-
sły, wesół i dobrej myśli, pocieszył nie jednego,
rozgniewanego upamiętał i uspokoił, poważnio-
nych zgodził, a czuwaniem tém wiązał się co-
dzień ściślej ze swoją gromadką, która go mia-
ła za ojca. Jak najdalej go zobaczywszy biegły
do niego dzieci, pewne, że dla nich ma coś w kie-
szeni lub przynajmniej przyjaźnie po twarzy po-
klepie i gospodarz zwracał z drogi, gospodynie
śpieszyły do drzwi na jego spotkanie.

W tych pielgrzymkach upływał czas do obia-
du, a w ehacie, którą nawiedziła choroba, smu-
tek, strata, nieszczęście, niezgoda, często po
całych dniach przesiadywał. Z ludźmi postępo-
wał jak z bracią— nie karmił, nie fukał, ale
nachmurzone brwi jego straszniejsze były, niż
innego groźby i łajanie.

Wróciwszy zasiadał do stołu, a strawa to
była niewymyślna, prosta, wieśniacza, przy któ-
rzej rzadko się ktoś obcy nie pożywił. Najczę-
ściej tuż przy progu znalazłeś dziada żebraka

z garnuszkiem u pasa, który opowiadaniem jakim ubawiał gospodarzy.

Potém jeśli nie powoływało do drugiej wioski, do chorego, na pogrzeb, paroch zajmował się Cyrylkim i spędzał przy nim pozostałe do wieczora godziny. Szedł jeszcze na wieczorną modlitwę do cerkiewki; tam ją klęcząc przed ołtarzem odprawiał i powracał na plebaniją ze starostą niosącym klucze, resztę dnia spędzając na rozmowie z żoną, synem i czeladką. Rzadko wszakże dano mu z niemi pozostać sam na sam—i takie było nawyknięcie udawania się do proboszcza, że mało który wieczór bez gościa się obszedł.

To ktoś ze dworu, to wójt, to stary gospodarz jaki, to szlachcic sąsiad, spędzali z nim pozostałe dnia godziny. Czasem nagle jak piorun porywała go z pod strzechy wiadomość o chorobie lub potrzebie pomocy duchownej, i niepa-trząc pory, pieszko zakasawszy poły, z kijem w ręku ruszał zaraz gdzie głos nieszczęścia go wołał.

Poczeiwa żona choć troskliwa o jego zdrowie nigdy go nie wstrzymywała zbyt długo oba-

wy od spełnienia obowiązku, a gdy eicho szepnęła czasem żeby się lepiej odział, odpowiadał:

—Nigdy powinność odbyta nie zaszkodzi, nie poczuja ani chłodu ani głodu.

Istotnie też do późnych lat trzymał się starzec endem prawie rzeźwy, krzepki i wesoły, z uśmiecchem dobrodusznym, który zawsze usta jego umilał. Twarz jego bardzo przypominała Ś. Wincentego a Paulo, ten sam mając wyraz świętości, dobroci i słodyczy.

W takim to domku ewangelicznym, gdzie każdy dzień poczynął się od modlitwy, zajmował pracą cały, a kończył przed obrazem Chrystusowym śpiewaną pieśnią pobożną,— Cyryll urodził się i wychował. Jak go kochali rodzice, potrzebaż opisywać?

Może z téj troskliwości o dziecko, widząc w niem charakter i upodobania z którymi by ciężko mu było sprawić po ojcu obowiązek parocha, starsuszek nie skłaniał syna do stanu duchownego, i dozwolił mu pójść tą drogą jaką sobie sam odbierze.

Cyrylek od dzieciństwa miał namiętność do książek; nie umiejąc prawie czytać już bawił się

niemi i uspakajał w płaczu, potem schwyciwszy elementarz, pobożne modlitewniki i co tylko miała plebanija, pożerał, czytać jeszcze dobrze nie mogąc. Nie pędzić go ale odpędzać było potrzeba od nauki, której pragnął nadewszystko. W plebanii nie wiele się czém mógł pokarmić, i wkrótce przebrały się zapasy, tak że Cyrylkowi zabrakło pożywienia.

Sam ojciec nauczył go czytać po polsku i po słowiańsku, dał mu pierwsze początki łaciny, pojęcia obowiązków człowieka, które najlepší wszechnięt przykładem.

Leez czynne życie nie było widać przeznaczone Cyrylkowi, który od niego uciekał do książki jak pod opiekuńcze skrzydła pokoju. Często w fałsolowej altance na ogródku, łapano dziecię na uczynku z wielkim folijantem żywotów lub łacińskim jakim szpargałem, usiłując dociec co znaczą głoski i co zamykają słowa.

Nie godziło się tak wyraźnemu sprzeciwiać powołaniu; Cyryll był niepospolitým dziećciem, ale gospodarze więszy od razu postrzegli, że im ojca nie zastąpi.

Mądry to będzie człowiek, mówili, ale z niego taki ksiądz jak nasz dobrodziej, nie wyrośnie.

Widzieli to ojciec i matka, nie śmiejąc mu przeszkadzać, ale po eichu nie raz westchnęli oboje myśląc, kto w tym starym pochyłonym pradziadowskim domku zamieszka? Kto obejmie po nich opiekę nad wsią i ludem przywykłym do starego parocha jak do ojca? Żał im było oddać w obce ręce tę chatę, w której mieszkało tyle szczęścia, taki spokój święty przez lat wiele!— Ale, dodawał stary— Pan Bóg wie co robi, nam się woli jego nie sprzeciwiać.

Cyrillek wprędce zapotrzebował nauczyciela, a nie bardzo go mieli czém zapłacić, ojciec nie mógł mu się oddać cały, mając inne większe obowiązki, pomyślano więc o szkole i pierwszy raz może w życiu gdy przyszło do niej oddawać Cyrylla, pleban westchnął że grosza przy duszy nie miał. Chłopezynę i oporządzić było potrzeba i książki mu kupić i stół a pomieszkanie i opiekę zapewnić... wszystko to na Bożym świecie kosztuje, i nie nigdzie darmo nie dają.

O tej prawdzie tak dla innych powszedniej i pospolitej, starzec niemal się pierwszy raz do-

wiedział, tak dotąd była mu obcą. Świat jakoś dziwnie mu się wydał pogański. Nie zwątpił jednak o sercach ludzkich, o przyszłości, i ufał w opatrzność pomoc Bożą. Ze starej sutany wysztukowano przyodziewek skromny, oporzędzono chłopca, ale stół, mieszkanie, książki, za co było dostać, czém okupić? Łyżek srebrnych już nie było, nie do sprzedania w domu, wyciągnąć rękę trudno kapłanowi, jeden tylko konina stał na stajni, i tego często potrzebowano. Obejść się bez niego było ciężko.

Paroch z żoną poczęli się naradzać.

— Co tu począć? co począć? jakby to temu podołać i za Cyrylka zapłacić?

— Konia mi szkoda, mówił stary, ale nie ma sposobu tylko go sprzedać muszę... Pocziwe to stworzenie, najwięcej mnie boli, że się w złe ręce jakiego okrutnika dostać może, co się z nim źle będzie obchodził.

— Ale i tobie bez niego zejść na piechotę...

— A mnie on na co? podehwycił księżyną— czy to ja gdzie jeżdżę? piechoto nawet daleko zdrowiej, i prawdziwie po apostolsku... a nie tak

stare kości trzęsą się jak na wózku. Jejmości to do miasteczka... ot sęk!

—Zmiłuj-że się... któryż z gospodarzy naszych mnie nie podwiezie, sami się o to napraszają... a mnie koń na co?

—Mnie też tak jak nie potrzebny, ale bestya poczeiwa!

I tak sprzedać go postanowiono; wyszukać tylko należało kto go na jarmark poprowadzi.

W wigilią tego dnia ofiary, Paroch sam nakarmił faworyta na pożegnanie, dobył siana z zastronka, nasypał owsa żłób pełen i cichą łzę otarł, zmuszony rozstać ze swoim Grzywiakiem. Takie imie nosił ów poczeiwy gniadosz, któremu potrzeba oddać sprawiedliwość, że miał i rozum wielki i charakter jak na konia łagodny i dobry. Poznawał wprzężony do wózka, po sposobie ładowania go i osobach, które doń siadały, gdzie się ma udać z niemi, stawał sam, zawracał, niepotrzeba nim było kierować. Sam ze stajni wychodził i do nięj powracał, i nigdy szkody żadnej nie zrobił; miał tylko tę, w stworzeniu naturalną zazdrość, że chłopskich koni, zachodzących czasem przypadkowo na dziedziniec nie

wpuszczał i wyganiał z niego, zagryzając do krwi, gdy się upierały jego trawę skubać przed plebaniją.

Dobrodzicjce także bardzo było smutno pozbawiać się Grzywiaka, ale czując jaką ofiarę mąż robi, nie śmiała pary z ust puścić, a sama jeszcze namawiała do sprzedaży.

Cały wieczór chodzili oboje zasmuceni i milczący, a pleban powtarzał:— *Alea jacta est...* Bóg wie co robi...

Posłano na wieś po gospodarza Mryhuba, aby wziął konia do swojego wozu i poprowadził go z sobą, a ksiądz dziwował się czemu Mryhub nie przychodził.

W tém dość już późno, zaszurgotało coś w sionce, szmer jakiś dał się słyszeć, i gdy drzwi się otwarły, ujrzano naprzód wezwanego Mryhuba, a za nim sześciu najstarszych ze wsi gospodarzy, którzy stanawszy w progu, kłaniali się do ziemi dobrodziejowi. Przed nich wystąpił najwymowniejszy z gromady Kalenica, *natus orator* wioski, i nim pleban miał czas zapytać co ich sprowadziło, śmiało i jasno w imieniu wsi całej wy-

rzekł, że księdzu konia sprzedawać nie pozwoli, a Cyrylka biorą sami na własny koszt.

Można się tego było spodziewać po wychowańcach pocziwego starca, a jednak obójgu księdzostwn łązy zwilżyły oczy, a pleban w milczeniu począł ścisnąć i Kalenicę i Mryhuba i ile ich tam było.

Moje dzieci, rzekł po chwili, jakie to dla mnie szczęście ta wasza ofiara, tego ja wypowiedzieć nie potrafię. Bóg widzi! nie żebyśmy byli chciwy cudzego, ale żescie mnie nią o sercach swych przekonali, że ziarno nie padło na rolę suchą i skalistą. Ale mogęż ja to przyjąć od was? Wyście sami ubodzy, nie urodziło wam, potrzeby wielkie, środki małe, łatwiej mnie pozbyć się Grzywiaka, niż wam składać się po groszu na moje dziecko.

Długo tam dosyć walczyli z sobą, ksiądz z jednęj, gromada z drugięj strony, aż wreszcie zapłakany paroch przyjąć musiał ofiarę, i wyściśkawszy parafijan, odprawił ich błogosławieństwem żegnając w ganku.

Szła za nim księdzowa i dzieciak rozczuleni, a nie zadziwicie się gdy powiem, że potem całą noc nie spali... i szczęście sen odbiera.

Grzywiak w swęj stajence pozostał, a Cyryll pojechał dobrze opatrzony z ojcem i z Kalenicą do szkółki w poblizkiém miasteczku. Dziecku żal było domu, ale go nęciła nauka i dopadłszy źródła, zajadle się z niego począł upajać. Inni czasem zadziwiają talentem i żywością umysłu, ten zdumiewał pracą i wytrwałością eichą, dojrzałością wczesną, zastanowieniem nad lata. Śmutno było patrzeć na dziecię nie mające dzieciunych upodobań, nie dzielające zabaw, nie dające się roztrzpiotać i rozweselić, zawsze zadumane, milezące, pokorne i zatopione w rozmyślaniu; ale w tym nadzwyczajnym jego rozsądku nie znać było cierpienia i walki, przychodziło mu to naturalnie, z konieczności, usposobienia i temperamentu.

W téj niższéj szkółce Cyryll więcéj się nauczył od drugich, więcéj z nauczycielami przebywając niż z uczniami, mając przystęp do zapylonej biblioteki monasteru, do którój nikt prócz niego nie chodził. Łatwo mu było uzyskać pozwolenie korzystania z niéj, gdyż od lat kilkudziesięciu całkiem jakoś zapomniana została. Jest to los wszystkich takich zbiorów, które jeden czynny i

pracowity człowiek zgarnia, ściaga, gromadzi, a następcy opuszczają, zapominają, rozsypują...

Do starych ksiąg, głosów dalekiej przeszłości, mało kto ma powołanie, straszą tu foliały, trupy świadki umarłej epoki, mówiące o niej i wyrażające potrzeby i pojęcia nie istniejące; człek musi nagiąć się, by je pojąć i słowo zawarte w tej twardej łupinie wydobyć. Cyryll był tu jak w domu, instynktem jakimś trafiał gdzie mu było potrzeba, domyślał się rzeczy nieznanych, łapał cele ukryte, odgadywał najtrudniejsze zadania.

Śmieszno i dziwno było zarazem widzieć go zagrzebanego w tych pergaminowych stosach ksiąg, które on po swojemu porządkował, ustawiał, składał, i nie wiele jeszcze korzystać z nich mogąc, poił się wonią, którą wycziewały.

Miał on to przywiązanie do ksiąg rzadkie, a niewytłómaczone, które czasem w monomanią przechodzi; nie tylko bowiem próbował je czytać i coś z nich zdobyć dla siebie, ale szanował jak coś świętego i wielkiego, jak rzecz najdroższą na świecie. Trafiło mu się na śmietniku zbierać rozerwane karty z poszanowaniem z ja-

kiem Mahometanie podejmują wszelki biały zwitek, widząc na nim zapisane imie Allaha.

W ten sposób, w wieku gdy drudzy ślęczą niechętnie nad początkowymi kilką podręcznikami, on już poczynął żywot uczonego od kąpieli w zbudziających papierach. W bibliotece był jak w domu, czuł się na miejscu i wkrótce prawdziwym stał się gospodarzem, bo każde w niej dzieło znał z twarzy i pamiętał, a gdy mu przyszło porzucić szkółkę, na równi z nauczycielami biblioteki, żałował, żegnał się z nią jak z przyjacielem.

Taką już drogą i dalej pójść musiał, ale nie długo ciężarem był gromadzie, która go utrzymywała, potrafił już uczyć młodszych na chleb sobie zapracować, co łyż pociechy wycisnęło z oczów rodziców. Stateczny i poważny nad wiek, pożądanym był dozorcą, rodzice już się o chleb powszedni dla niego nie potrzebowali kłopotać.

Każdy jego przyjazd na święta, był dla nich chwilą nieopisanego szczęścia, bo ich umacniał w spokoju o przyszłość dziecięcia, które coraz mniej opieki potrzebowało. Nie dziwił się ani przeciwiał pleban temu, że syn jego pierwsze gro-

siwo zapracowane zaraz począł na książki obrać, i co mógł gdzie dostać zwoził, składając do rodzicielskiego alkierzyka. Namiętność do książek rozwinęła się w nim do tego stopnia, że nie mając surduta i bóty bardzo liche, kosztowne jak na swą kieszeń kupował już dzieła i bibliotekę gromadził, odejmując sobie od gęby.

Kiedy go w domu nie było, a osieroceni starszankowie chcieli się jego przypomnieniem ożywić, szli wówczas do alkierzyka, i oboje opylali, przekładali, czyścili z pajęczyn stosy książek, które Cyryll tam zostawiał.

Na około nich stały pułapki na myszy aby chciwy ząb ich nie uszkodził skarbu, od pyłu kilimek osłaniał. Ojciec sam tak się przejął miłością ksiąg synowską, że po wsiach i dworach zebrał niemal o stare szpargały dla syna, a gdy przybył na wieś Cyryll, zasadzał go potém zacierając ręce i chodząc do koła, aby tę uową zdobyć ocenił.

Nauki szły Cyrylkowi bardzo łatwo;— chociaż mógł być wyprzedzić współuczniów i zdać examina do klass wyższych od razu, bo się do nich

przysposobił, nie śpieszył wcale, i pracując a idąc naprzód nie prześcigał tych z któreni razem drogę rozpoczął.

Pocziwe to dziecko tak zaprzątione jedném, zajęte pracą, choć wzbudzało w starszych szacunek, a płochych rozśmieszało powagą, wskazywane było palcami; prześladowali je towarzysze uczonością, bawili się jego zubożeniem na wszystko co nie było książką. Na ogólnych zabawach Cyryll choć się znajdował, tak do nich był niezgrabny, że pocieszenie nań spojrzeć było, gdy się do nich brał za wyższym rozkazem.

W dziecku tém nie było dzieciennego.

—Na coś to osobliwszego wyrośnie!— mówili nauczyciele.

—Monoman,— szeptali drudzy.

—Wątpię, żeby się to wychowało, bo to coś fenomenalnego,— powtarzali inni— to nie jest rzecz naturalna w dziecku takie oddanie się książkom i nauce.

Skończywszy szkoły, a nie zebrawszy na chlebie dozorecy nie prócz znacznej ilości rozmaitych szpargałów, Cyryll powrócił do domu z upartą

myślą udania się do Uniwersytetu. Ale tu nowe przedstawiały się trudności prawie niepokonane, brak grosza, wielkie oddalenie, podszły wiek rodziców tęskniących za jedynym dzieckiem.

Cyryll nie obawiał się niedostatku ani walki z biedą, ale mu żal było starszaków opuszczać, którzy go tak ukochali, że miłości swój niemal zapierali się i taili z nią, aby ona go nie wiązała. Powrócił znowu na parę miesięcy do cichej plebanij i zamyślił się czy nie należało mu uczynić ofiary z siebie dla ojca i matki. Gotów był zostać księdzem, by ojca wyręczyć; serce ciągnęło gdzieindziej, ale obowiązek, zdawał się tu przykuwać.

Rodzice milezeli— paroch owszem namawiał, aby się z wyznaczonej mu palcem bożym drogi nie zwracał.

—Mój drogi Cyrylku,—mówił— są skazówki w życiu pochodzące od Boga, które człowiekowi cel jego wyznaczają i przeznaczenie oznajmują. Nie jestem ja, uchwaj mnie Boże, fatalistą, ale wiem przecie, że Opatrzność opiekuje

się nami, rządzi, pomaga. Wolno człowiekowi postąpić przeciw natchnieniu z góry, ale mu to nigdy na dobre nie wyjdzie. Ten, któremu w dzieciństwie Bóg zesłał przeczucie przewodnicze przyszłości, grzeszy, gdy go nie słucha... Innym zbywa na niém, ci idą ślepo, ale wybranych oświeca łaska z góry, a przeciwie się jej zgubna. Tobie widocznie znać powiedziano, że ludziom się przydasz nanką, słuchaj-że co każą. Dla nas moje dziecko, ofiara twoja byłaby bezpożyteczną, dni naszych maluszko i policzone one są, starość spokojna— my cię zdaleka przez góry, i morza widzieć będziemy i cieszyć się tobą... idź! idź! Ale dokąd pójdziesz i o czém? Nie wymawiam ci tego,— ale gdyby teraz był ten grosz, który wyszafowałeś na książki, ani my ani tybyś się tak nie kłopotał.

Cyryll na to całując rękę ojcowską odpowiedział ze wzruszeniem.

— Pan Bóg prowadził i pomagał, nie opuści i teraz, nie boję się ja ani dalekiej drogi pieszkiej, ani braku grosza mój ojeze. Mógłbym nie ocalić tych ksiąg, które zniszczenie spotkać mogło, gdybym ja ich z rąk nieświadomych i obo-

jętnych nie wyrwał? Wieleż to tam słów świętych, myśli wielkich, pamiątek drogiech... jest-li coby przeszłość i tradycje rodu ludzkiego przechowywało lepiej nad księgi? nie obowiązek-że święty ochraniać je od zagłady choćby wielką ofiarą? Dają medale za ocalenie życia, jabym równie nagradzał za wyratowanie życia tego, które jest w każdej księdze... Z każdą zniszczoną książką ginie część jakaś żywota ludzkiego na ziemi.

Ojciec już nie nie rzekł, a matka staruszka pocałowała go w głowę.

— Jednak... szepnęła po chwili— jak to się tobie tam dostać? a dostawszy się poradzić na początek? Gdyby choć znajomy jaki, choć list do kogo?

Cyryll się uśmiechnął.

— Czyż mnie tam braknie znajomych i przyjaciół z ławy szkolnej, co mnie tam uprzedzili? No— a Pan Bóg? matuniu? Alboż to ja się złąknę niedostatku i głodu? czy to u nas kto umarł z niego? Pieniędzy mi wcale nie potrzeba, pójdę pielgrzymując od plebanii do plebanii i nikt mi drzwi

nie zamknie. Tam raz w Wilnie, czyż już sobie zarobić nie potrafię?

Rodzice oboje, nie na to odpowiedzieć nie mogli, i oni wierzyli w Opatrzność— tylekroć jęj doświadczywszy.

Upłynął czas wakacyjny, nikt o podróży nie wspomniał, przykrym to było dla wszystkich przedmiotem;— ojciec jednak odgadłszy niepokój Cyrylla postarał się trochę grosza pożyczyć, pólówkę pola odnajął, i związał węzełek dla jacydynaka.

Zapłakali gdy odehodził, bo nie to to już było co o kilka mil do szkół, świat jakiś obcy, daleki, straszny... a starym przychodziło na myśl, że już może syna nigdy oglądać nie będą. Pieszko wyszedł ze wsi, matka, ojciec, gromada, wszyscy go przeprowadzili do krzyża. Tu po modlitwie cichęj stary księżyna z weselszą twarzą odwrócił się do dziecka.

— Jeśli nie tu to tam zobaczymy się, rzekł.— Nie potrzeba się daremnie rozłaziwać, lzy na oplakiwanie grzechów naszych zostawmy. Niech cię Bóg błogosławi synu! nie zapominaj! pisz często! pisz proszę.

—Pisz, dodała matka, nie zabądź rodzonych twoich... my za tobą tak tęsknić będziemy!

Kalenica czekał z wozem i Cyryll znikł im wkrótce w tumanach kurzu, a gdy powrócili na probostwo— tak było pusto, tak pusto! Izy się cisnęły do oczów.

Na stole otwarta książka, którą syn tam zostawił pozostała na pamiątkę przykryta serwetą... nie tknęli jęj oboje... choć codzien chodzili do nięj. Był to Nowy Testament, na którego rozłożonęj karcie stały te dziwnie do nieobecne-go dające się stosować słowa, których znaczenie ojciec wziął za dobrą wróżbę:

„I o to proszę, aby miłość wasza więcéj a więcéj oblitowała w umiejętności i we wszelakiem zrozumieniu: abyście doświadczyli co jest pożyteczniejszego, żebyście byli szczerymi i bez obrażenia na dzień Chrystusów.“ (*Ś. Paweł do Filipensów. k. 1.*)

I tak o kilkadziesiąt złotych powędrował chłopak spokojnie ku Wilnu; Kalenica dowiózł go

do najbliższego miasteczka, a że się tu nie trafiła fura poszedł pieszo, eo go nie zasmuciło wcale. Miał w kieszeni Elzevira darowanego na wyjeździe przez ekonoma ze wsi sąsiedniej, i z niego powoli napajał się Virgilim, nie śpiesząc bardzo a dążąc do celu z ufnością młodą szerokim gościńcem, który wiódł ku stariej stolicy.

Trafiło się, że go ktoś podwiózł trochę, to znowu spocząć poprosił, nocował przy kościołach na plebanijach, popasał chlebem i wodą pod szumiącą jedliną, stanął posłuchać ptasząt, siadł poczytać Virgilego, trochę zamarzył, trochę zatęsknił i tak się zbliżył do Wilna. Tu już koło Solecznik spotkał współuczniów, którzy go zabrawszy na żydowską brykę z sobą dowieźli do miasta. Ani na chwilę opuszczone dziecko nie doznało strachu i o los swój niepewności. W Wilnie zrazu ciężiej było coś znaleźć, ale mu pocziwa jakaś dusza nastroczyła ubogie dzieci, które dać i chleb dawały za naukę, a to dwoje zapewniwszy sobie, nie wiele więcej potrzebował.

Czém mn najprzykrzej dolegało ubóstwo, to pozbawiając go możności nabywania książek.

W ówczesném Wilnie pełno ich było wszędzie, niezliczone falangi przemysłowych żydków roznosiły je po ulicach;— spotykało się z nimi wszędzie, w rogu Kardynałji, gdy uczniowie wychodzić mieli z Uniwersytetu, pod Ś. Janem, w najdalszych miasta zakątkach... Często jeden i ten sam Izraelita handlował sukniami i mądrością narodów, dźwigając podarte mundury i stosy powiązanych voluminów. Cyryll pod pozorem kupna oglądał je ciekawie i nie raz stanawszy pod bramą, zaoskomiony pragnieniem drżącą ręką przebierał te drogie zabytki, które niewiedziéć jaki los czekał. Żydzi nie znając się dobrze, prócz na małej ilości znajomszych dzieł, o reszcie sądzić się uczyli od tych co u nich kupowali. Handlarze uliczni wkrótce oswoili się z bibliomanem, który choć kupował rzadko znał się nie źle na wartości towaru, radzili się więc chętnie studenta, i przychodzili doń z nabytymi starożytnościami.

Na lekeye uczęszczał jak najregularniéj, a resztę czasu spędzał Cyryll w bibliotece, którą poznawszy, gospodarzył w niéj jak niegdyś w szkol-

nej, jeśli nie rękami to oczyma, spędzając godziny całe nad katalogiem i przy szafach...

Pragnienie nauki uczyniło mu wybór przedmiotów bardzo trudnym; byłby się uczył razem wszystkiego, gdyby na to godzin mogło wystarczyć, ale potrzeba było wybrać jedno, i tćm się ograniczyć. Nauczyciele i współuczniowie wskazywali mu literaturę i filologię, która go usposobić mogła w przyszłości na profesora...

Najbiedniejszy to z chlebów ludzkich, ale jako powołanie najdosłójniejsze; tu potrzeba istotnego poświęcenia, bo lada chłystek lepszego próżnując dobije się bytu, nie nie nagradza pracy, zadanie trudne, przecieź miłującemu naukę miłe i słodkie. Cyryll musiał się chwycić pedagogiki, bo ona jedna najłatwiej mogła zbliżyć go do upragnionych ksiązek, i przy nich zatrzymać na zawsze. Zaczął więc studja i zaraz się w nich odznaczył, a nie zadowolniony niemi, na prawo i lewo zbijał się z drogi pochwytując co było można, dodawał sobie godziny innych prelekcij, wkładał się na nie, i w milczeniu szeroki plan przyszłości zakreślał.

Należał on do szczupłej liczby zajadłych akademików co przerażali nauczycieli niezmordowaną pracą i zapalem, namiętnością, z jaką się parli do wrót świątyni.

Co najdziwniejsza jednak, studia poważne, odosobnienie w pracy, suchość zajęć, drobnostkowość ich nie ostudziły w nim wyobraźni, ani spętały myśli. Ilekroć sam z siebie potrzebował coś dobyć, obficie znajdował w sobie, nowych pojęć i zdrowych sądów, nie karmił się i nie przejmował cudzém, ale przerabiał na swoje czegokolwiek dotknął.

Z jak różnych żywiołów składało się to gronko akademickie, już to poniekąd dostrzedz łatwo. Serapion był sierotą i dzieckiem ludu rzec można, Albin pieszczonym paniczem, Longin zdobywcą szczęśliwym, co wprost z sieroctwa i opuszczenia wszedł na tron, dopominając go się jak należności, Konrad potomkiem wielkiej rodziny i członkiem większego świata, Cyryll wreszcie dzieckiem plebanij namaszczoneń do uczoności

w chacie ubogiego parocha. Dwaj pozostali zbiegli się tu także z różnych stref społeczności.

Dójrzyć już w tém łatwo jak nieźmiernęj wagi dla kraju jest wychowanie publiczne, a zwłaszcza życie uniwersytów jednoczące najprzeciwniejsze kasty, równające w obec nauki i obowiązków przyszłości wszystkie stany, skupiające na chwilę to co później rozprzerzelił nawet, zachowa zawsze ku sobie jakieś powinowactwo.

Cóż może zastąpić te związki młodzieńcze, wlewające miłość bratnią w ludzi, którzy się wszyscy kochać i łączyć powinni? Jest-że z nas kto coby spotkawszy dziś towarzysza dawnego nie wyciągnął mu ręki choćby dłoń, która ma dotknąć jego naperfumowanej rękawiczki była gruba i namulana, choćby białe jego palce uściśnąć miały osmoloną prawicę wyrobnika?

Jakkolwiek później świat, powołania, losy, rozdziela i rozsuna, zostaje pamięć równości, żyje przyjaźni iskierka, coś łączy i zbliża, jest wspólne miejsce, na którym schodzą się starzy towarzysze broni. Nie dziwujemy się, że te wielkie instytuta gromadzące młodzież tysiącami win-

niśmy chrześcijaństw, (bo za pogańskich czasów pojedynczy nauczyciele wiedli za sobą tłumy adeptów i akademije inny miały charakter, a nowsze uniwersyteta są instytucją czysto średniowieczną, katolicką). Kościół ustanawiając je i potwierdzając przeznaczał, że one będą nie tylko źródłem nauk i oświaty, ale potężnym cementem mającym społeczność skleić i zgarnąć w braterskie grono.

W Wilnie duch ten jednosci, zgody i pobratymstwa rozwijał się może dzielniej niż gdzieindziej, uniwersytet nie stał się jak owe wykształwione niemieckie, zakonem jakimś potrzebującym inicjacyi, nowicyatu, podzielonym na klasy i czysto ludzkim zbiegowiskiem malującym zawczasu świat i jego namiętności— ale całością świętą i wielką, która pociągała ku sobie potężnie wszystko otaczające, pragnęła się powiększać, i nie gardząc filistrami z niemi szukała przymierza by w nich teńnąć swego ducha.

Co się tu wydzielało z ogółu, nie łączyło, napiętnowane było w przyszłości odrzuceniem, co było dobre garnęło się w jedną kupkę bra-

terską bez różnicy lat i stanu. Cudowny instynkt potrzeb społeczeństwa, potrzeb przyszłości, oświecał tę z różnorodnych żywiołów złożoną całość.

Ale to pogrzebowa nad grobem egzorta!... uczniowie i nauczyciele rozpierzehliśmy się po bożym świecie, rozbitków nawet już mało, a rzadko z tamtych czasów spotykamy człowieka co by je nam żywiej przypomniiał.

Z dwóch pozostałych o których coś powiedzieć jeszcze musimy, pierwszym był Jordan Hrn-szka, Krezus *in spe*, bo ciągle o z bogaceniu mówił tylko, a tymczasem dosyć ubogi chłopak. Nikt z nas jednak nie powątpiewał, że musi i powinien zrobić majątek, bo się z taką do grosza, spekulacyi urodził namiętnością jak Cyryll do książek.

Jordan w tym wieku kiedy pospolicie najtrudniej się do udawania i wielkiej skrzętności nałamać, wyglądał już na przebiegłego lisa. Był to dosyć ładny chłopiec, którego fizioognomija

kłamała przedstawiając na pierwszy rzut oka rysy spokojne i prawie idealne. Całość twarzy niezaprzeczenie piękna, bardzo regularna, uderzała naprzód wytworną proporcją wszystkich swych części. Oczy tylko mogłyby być nieco większe, ale w tych małych ile było niespokojnego ognia i żywości! Czoło nie uderzało rozwinięciem, ani też zbyt uciskało mózgu, nad niem niosł się włos ciemny lśniący, ale tak twardy, że trudno go było przeczesać i zawsze prawie jeżył mu się do góry. Nos śliczny, usta trochę wąskie i nawykłe ukrywać uśmiech, co je często nawiedzał przelotem, ował twarzy kształtny, mimowolnie zwracały oko. Postać równie miał kształtną, wzrost dosyć wyniosły, a nie każdy dostrzegł maleńkiej ułomności, która się pochYLENIEM lekkim ku lewej stronie zdradzała.

Jordan widziany na ulicy zawsze czysto i starannie ubrany, bo dbał o powierzchowność, nie wydawał się wcale z charakterem swoim, ginął w tłumie pospolitej młodzieży; przy pierwszym też poznanim więcej drugich studiując niż z sobą się wydając, nie łatwo dawał pochwycić. Słu-

chał więcéj niż mówił, badał, wyciągał a ze swoim zdaniem nkrywał, gotów był nawet trochę potakiwać przeciw przekonaniu, byle się czegoś więcéj z człowieka dowiedziéć i wyciągnąć. Trzeba było pożyć z nim dłużej, aby odkryć ile tam zasobów i zdolności się nkrywało. Wszystko to oblekało się powierzchownością pospolitą, startą, nie wiele dbającą jak się wyda, unikającą popisu. Nie szukał towarzystwa, ale go nie unikał, sam nie łatwo się otwierał i najbliżsi nawet nie mogli powiedziéć, żeby go całkiem znali i pochwycili do głębi. Nie wiele jednak rachowano na to serce ostrożne i nie chcące się otworzyć.

Potrzeba było wnikać w przeszłość i pochodzenie Jordana Hrszki, aby nieco go sobie wytłómaczyć. Synem był rodziców bardzo niezamożnych i liczną obarczonych familją, (bo to się u nas obarezeniem nazywa co dawniej miano- wało bogaetwem). Po staremu trzymali się oni zagona i innego sposobu do życia nie widząc, uprawiali kawałek roli, cierpiąc dotkliwy często niedostatek.

Nie przykrzejszego nad położenie w jakim

zostawali rodzice Hruszki na wioseczce małej w polach piaszczystych i nieurodzajnych, ledwie dającą chleb powszedni i to ubogi. W tych samych warunkach przy lepszym zrozumieniu życia i zastosowaniu się do możliwości swój, rodzina ta mogłaby była wieść żywot szczęśliwy, bo ileż to ludzi mniej ma daleko, a nie cierpi na tym? Tu wszakże główną przeszkodą do szczęścia było, że Hruszkowie mieli to z tradycyji i Herbarza, że pochodzili z bardzo zamożnej i niegdyś utytułowanej szlachty. Pamięć tych przodków niedozwalała następcom przyjąć ubóstwa z dopustu Bożego spadłego na nich, z rezygnacyą i godnością, nie chcieli się zgodzić z wolą przeznaczenia i ulecz ją zmieniając odzież, sposób życia, stosunki.

Ubóstwo trzymało ich w zielonych klubach a pycha ścisnęła je mocniej co dnia.

Ofiarami więc charakteru, godności, poczciwości niemal okupywano pokazanie się, skąpiono i cierpiano w domu, byle światu dowieść, że Hruszkowie nie upadli. Musiał być powóz choć stary, dom powierzechownie pański, służba w liberyi z herbowemi guzami, kucharz, salon i t. p.,

a nabycie tych czezych oznak fałszywego dostatku, które nie oszukiwały nikogo, kosztowało drożej niż było warto... Za to musiano targować się i kręcić z żydami, robić długi, uciskać wieśniaka, nie opłacać sług, wydziedziczać się z potrzeb istotnych by znużonym dogodzić.

Na dobitkę świat, który nie jest tak głupi jak się zdaje, śmiał się z tego i w blichtry nie wierzył, bo zwykle nikogo prócz siebie w ten sposób nie oszukujemy— eierpiało się w życiu codzienném, a choć twarzą wypogodzoną witało obcego, mimowolnie coś w domu wyszeptalo tajemnicę biędzy, której utaić niepodobna.

Nie mogli czy nie umieli powiedzieć sobie, że najpiękniejszym sposobem noszenia wielkiego imienia choćby w siermiędze, jest zatrzymanie i przechowanie wielkiego charakteru, który go odznaczał; a najgodniejszy potomek sławnój rodziny jest ten co się swojego nbóstwa i pracy nie wstydzi. Mnóstwo u nas jest w kraju podobnie omylonych ludzi co sądzą, że państwo i znakomitość na pieniądzach i zbytku zależą. Jest to fałszywe i zgubne pojęcie, bo lada żyd bogaty

co łączy chłopka przez alembik na złoto zanie-
nia, może dogodzić swoim fantazyom zbytkowym
i popisywać się z zamożnością,— ale prawdziwa
wielkość i o kijn z torbami roztrząsa tłumy,
wzbudza cześć i pochyła głowy.

Pierwsi Królowie zarówno z poddanemi sypiali
na słomie, chodzili w kozuchach jak nasz Ja-
gaciłło— pierwsi biskupi drewniane mieli pasto-
rały, a gardzić pozłotą długo było cechą naj-
wznioślejszych umysłów. Dziś, od niejakiego
zwłaszcza czasu skutkiem najfalszyszych teoryj
pogańskich napływających do nas z zachodu, pod
pozorem dobra ogólnego, postępu przemysłu i
handlu, przyszliśmy do cześci cielea złotego, któ-
rą już się nawet nie wstydzimy. Śmieją się
jak z mienków z tych co inaczéj utrzymywać
śmieją, ci dobroczyńcy ludzkości co w grosz jak
w zbawienie uwierzyli. Ztąd przyszliśmy wre-
ście do mierzenia groszem wartości człowieka,
uczynków, dusz, umysłów i narodów. Najnie-
cniejsze z narodów jak Anglija co zamęczyła Ir-
landyą krwią się jéj upajając, co wysłała Indye,
do rozpaczki je przywodząc niechrześcijańską ad-
ministraeyą, co podburzała Indye kłamiąc później

najuroczystszym obietnicom swoim i opuszczając je, gdy skorzystała z rozruchu dla swój kontrabandy— co oprócz własnego interessu nigdy nie знаła nic więcej— wyszła dziś na świecznik jako wzór i mistrzyni. Wszysey ją wielbią i podnoszą, że tyle ma grosza, że go tak robić umie, i tak nim mądrze szafuje. Nigdy jeszcze sumienie ogólne tak sfałszowaném nie było— robiono źle, ale skłaniano głowę przed ideałem dobra i oczyszczano się kłamstwem enoty, dziś ideałem się staje co najszpetniejszego w świecie jest pod względem moralnym... ale praktyczne i silne...

Zatém idą dalsze następstwa, nieposzanowanie ubóstwa, które pocziwém poświęceniem nabyte zostało, przebaczenie występki szczęśliwemu, przyjęcie bogatych, choćby splamionych byle bogatych,— odpychanie upadłych chociażby dla ocalenia pocziwości. Wszystko to trafiało się i dawniej, bo człowiek był słaby i ulomny, ale nigdy nie budowano systematów na podtrzymanie błędni, nie ośmielano się przerabiać czarne-go na białe, a słabości przeistaczać na enoty.

Ta cześć i poszanowanie grosza doprowadziła

nas wreszcie do istotnego zwichmienia pojęć o cnocie i obowiązku.

Nie trzeba się dziwić potem, że ubogi kłamie dostatek, udaje zamożność, pnie się, gdy szczyre wyznanie ubóstwa przyjętoby pogardą, a komedję płacą grzecznością i biorą za coś przyzwoitego.

Prawdziwa wielkość charakteru w naszym świecie miejsca sobie nie znajduje, jednym wydaje się donkwicheteryą, drugim udaniem i rachubą, innym prawie szaleństwem, — uciekają do niej jak od zarazy, aby téj saméj gorączki nie dostać i nie wystąpić krokiem z rzeczywistości.

Chłodni, przytomni, po żydowsku rachując, stąpamy ostrożnie i powoli, a choć jeszcze żegnamy się rano i wieczór machinalnie, Chrystus Pan już nie mieszka z nami.

Hruszkowie byli po prostu dziećmi swojego wieku, nie martwiło ich to, że już do niczego zdolni nie byli, że nic nie robili pożytecznego;

ale że dalej udawać dawniejszych Hruszków co-raz im było trudniej.

Zamiast się czegoś w pocie czoła dorabiać, oni z biędą naciskającą walczyli dzień w dzień małuczkami wysiłki kłamstwa i wykrętów. Dwór to był jaki nie jeden zapewne widzieć się wam zdarzyło, bo u nas na nieszczęście jest takich wiele a wiele. Licha wioszczka o kilkunastu chatach otaczająca go przedstawiała smutny obraz porozwalanych chałup i z nędzą oplakaną walczących wiesniaków, którzy chodzili z głową pochyloną rozpaczą jakąś milezącą a straszliwą. Do koła pola były źle uprawne, drogi zaniedbane, płoty porozwalane... przecież dwór za coś paradnego chciał uchodzić, a dziedzińiec otaczały klomby, a sad wycięto na angielszezyznę, i ostatni dziedzie począł stawieć wieżyczkę nad oranżeryą, która niedokończona sterczała dziwaczną ruiną i sypała się już w gruzy. Budynki folwarczne ode drogi miały facyaty białe, a z tyłu chruściane ich ścianki się waliły; brama w słupach murowanych nie zamykała się nigdy. Tak samo wszędzie, nędza łączyła się z wystawnością, nieładem i nieczęcznie odegry-

waną komedya. Na nieudolne jęj przedstawienie niewystarczało całych sił życia, a spektatorowie śmieli się trzymając za boki... Przy gościach parobcy występowali w dłuższėj nad potrzebę lub krótkiej nad miarę liberyi— zmagano się nawet na podejrzanego Osterlofowskiego szampana— a po funt cukru na kredyt posyłało do miasteczka. Gdy nikogo nie było często jadła zabrakowało, ale przy odwiedzinach wielkiego pana, mówiono zawsze o budującėj się oranżeryi, i pokładano jakieś zbladłe pożyczone *Revue* na stolikach. Sama pani miała chustki dziurawe ale batystowe, a brakło jęj pospolitych pończoch, sam pan jeździł kocykiem, ale koni nie miał za co popaść, i zmuszał do słuchania retoryki. Gdy do tak urządzonych interesów dodamy kilkoro dzieci wolających chleba i wychowania, dług i dłużki, niezłamany niczém nałóg próżności, wyobrażenia fałszywe o pozycyi socyalnej i zgryźliwe nspособienie wyrobione zbiegiem tych okoliczności — będziemy mieli obrazek domu, w którym się Jordan wychował.

Komedya na wielkim świecie, jak na dobrym teatrze jest rzeczą czasem zabawną, na małym

i ubogim śmieszna wzbudzającą litosć, obrzydzenie, pogardę. Łudzą na chwilę te dekoracje, wystawne, ale ścierka brudna, reprezentująca obłoki nawet dziecka nie oszuka.

Tu codzielną od rana poczynął się płacz i zgrzytanie zębów czyscowe, a trwały do nocy. Ledwie pan przetarł oczy, zjawiał się żydek z kwitkami, których nie było czém opłacić, exekucje za podatki, urzędnicy do opisu ruchomości, natrętny szlachcic co lat kilka od swęj sumki nie widział procentu, a ledwie się temu wszystkiemu opędzono, z sąsiedztwa zjeżdżał ktoś, z kim zasiadano w salonie mówić o kwiatach, ogrodzie, nowościach, zabawach i udawano, że się za granicę wybiera dla nerwów, aby oznajmić że są i nerwy.

Dzieci w ten sposób uczono kłamać od kolebki, bo ile razy wygadały się niepotrzebnie z jaką biedą zakulisową, stawiono je potem na pokutę, a wprowadzając do fałszu, zwiechnięto przyszłość ich całą, bo świat w oczach ich stał na kłamstwie.

Wszystko się tam trzymało, jak powiązane sznurkami i poklejone, grosz grosza nie dogonił,

cudem tylko zachowywano się przy majątku, codzien połykając wstyd gorzki i wymówki ludzi, którzy nie szanują nędzy strojnój w pożyczane łaachmany.—Wszystko to nic poprawiało. Po żniwach dawano wieczorynki, zapraszano na dożynki, rozcznalając się nad chłopkami, którzy kszuli nie mieli na grzbiecie, a słyszeli, że im obiecywano ochronę i kasę oszczędności, jeżdżono do miasta na karnawał, aby drugim nie ustąpić, i małpowano możnych dla honoru domu!

Sam pan Hruszka, wychowany już był przez ojca, jako dziedzic wielkiego imienia i to go zgnębiło, na pieczęcie, miał paludament kniazia Marusza Hruszki, który pięćset lat temu w kronice jakiejś, zabił Murzę Tatarskiego, i pamiętał o ksztelanie prapradziadku babki. W osiemnastu leciech usamowolniony począł piastować majątek, godność naczelnika rodziny i tak dobrze szastał, choć nie było czém, że w dwudziestu leciech wioska została bez rachunku odłużoną.

Po tym krótkim karnawale, począł się nieskończony post czterdziesto-letni, młodzik pokręcił się jeszcze trochę po świecie, nie udały się projekta świetnych ożeń, i w końcu wszedł w dozgonne

śluby z guwernantką, u której wprzód był tysiąc rubli chwycił, rozpoczynając z nią razem naukę opędzania się wierzycielom. Oplakane to było życie!

Matka Jordanka niegdyś piękna, która niewiedomo jak przyszła do kilkunastu tysięcy złotych, mając już lat do trzydziestu, wydała się za P. Hruszkę, biorąc go w długu za tysiąc rubli, których opłacić jej nie mógł. Szczęściem małżeństwo to nie mogło być poczytywane za mezalianis, gdyż i panna pochodziła z bardzo znakomitej jakiejś choć nieznaniej rodziny, po której choć papiery i dowody przepadły, imię brzmiące pozostało, jako świadectwo przeszłości. W herbie jej była korona hrabiowska i cztery kompartymenty, choć nie nie upoważniało do noszenia tych godła— ale któżby śmiał pytać o pochodzenie słactwa?

Pobrawszy się państwo Hruszkowie, gdy oboje pojęli położenie swoje i lepiej się wzajemnie poznali, wspólnemi siły wzięli się do grania nieszczęsnego melodramatu, który im zajął całe życie.

Jednym z pierwszych Jordan wystąpił na sce-

nę, był on najstarszym z dzieci, i wprędce zrozumiawszy rodziców, ich dolę i co cierpieli, zaklął się prawie, koszulkę w zębach nosząc, że bogatym być musi.

Żyjąc od pieluch w tém utrapieniu pochodzącym z braku grosza, łaknąc wszystkiego, a nie mając, chciwy bo głodny, postanowił sobie bądź co bądź dorobić się, dźwignąć z tego upokorzenia i fortunę do której wzdychano pozyskać choćby zaprzecaniem własném.

Dziecinne jego lata zbiegły w przysposabianiu do szkół najnieporządniejszém, brano i odprawiano nauczycieli, czasem miesiącami całém dziecko biegało samopas powierzone opiece losu, niekiedy do nauki brała się sama matka, ale ją odrywała potrzeba nieustannego czuwania nad domem, ażeby się wydawał na przyzwoitój stopie,— a gdy przyszło Jordanka posłać już do klass, z nieźmierną trudnością mógł być przyjęty, bo do nich się nie okazał weale usposobiony. Miał dosyć zdatności, ale ochoty tylko tyle ile jój wyrobiło przekonanie, że i do nabycia groszy nauka jakoś potrzebna. Wszedłszy do szkół dosyć późno chłopak

więcej myślał jakby wyniść co najprędzej, niż żeby z nich miał korzystać.

Postępował zwolna coraz wyżej bez wielkich i świątynych powodzeń, ukryty w tłumie, towarzysze nie bardzo go lubili, nauczyciele nie zwracali nań uwagi. Wprędce odkrył się w nim tak jawny i wielki egoizm, że tylko rachuba i obawa wstrzymywały go od poświęcania co krok towarzyszów dla siebie. Kilka razy postąpił sobie tak, że o mało nie został wywołany, a uczci raz wzgardzony, od którego się usunęli na jedną z nim ławie niechęć siedzieć kolledży, na całe życie potem zostaje wygnańcem w społeczności, piętno haniebne wynosząc z sobą za próg szkoły.

Wiedział to Jordan i poprawił się w porę, ale go już znano i widziano, że zamknięty w sobie nic dla nikogo nie uczyni, i nie wymagano od niego żadnych ofiar, ale dlań nie robiono żadnych.

Ojciecłożył nań w szkołach choć z trudnością, ale się interesa pogorszyły, i na Uniwersytet wysyłając dał mu tylko małą zapomogę jednorazową, oznajmując że nadal powinien się sam starać o siebie, bo on nie jest już w stanie pono-

się ciężaru jego wychowania. Jordan więc zaraz postarał się o kondycyą i szczęściem znalazł ją w domu dostatnim, rozpoczął kursa, a niewiele się udzielając ludziom, po cichu kroczył dalej ze stałą jedyną myślą w głowie, zrobienia koniecznie majątku jakimby sposobem. Przeszło to u niego w prawdziwą monomanią, i byłoby dla nas tajemnicą, gdyby młodość mająca prawa swoje nie zmusiła osamotnionego zbliżyć się do towarzyszków i wygadać przed niemi.

Jordan potrzebował towarzystwa, nie mógł się powstrzymać od kilku słów rzeczonych nawiasem, a gdy te wyrzekł resztęśmy z niego sami po-
ciągnęli. Bawił nas i wielkością rodziny Hruszków, której splendorów dawnych nikt z nas nie znał, i wiarą swą niezachwianą, że się ma kolosalnej z niczego dorobić fortuny. Z góry zapowiadał, że w wyborze środków nie będzie trudny i gotów sprzedać się pierwszemu lepszemu, ożenić ze starą babą, a tych co mu na drodze staną nielitościwie zepchnie i poświęci.

— Pieniądz, mówił z krwią najzimniejszą, jest
osią świata, nabycie jego usprawiedliwia wszyst-

ko, patrzcie co gadają na pana Ko... na Sa... na tylu innych, a jak ich jednak przyjmują? Któż się odważy nie podać im ręki? czyj dom zamknięty przed nimi? jakiego związku nie są w stanie okupić milionami swojemi? Ludzie w ciągu roboty i podłości do których często zmusza nabywanie grosza, hałasują i krzyczą na śmiałego pioniera, ale gdy wyklęty dobieje się złotego klucza, otwiera nim i serca i ręce, i drzwi i wschody... idzie gdzie chce, a ci co nań świstali, czapki pozdejmowawszy przeprowadzają z respektem... Co mi tam reszta! Bogatym być muszę i będę. Jak? nie wiem... schwyczę pierwszą sposobność jaka się nawinie.

— A jeśli się nie nawinie?

— Ja ją sobie nawinę... będę jej szukał i złapawszy powalę... młody, silny, przystojny i nie głupi człowiek, jeśli się czego nie dorobi, sam sobie winien, ale musi panować nad sobą i serce zapieczętować.

— Możeż być pewnym że pieczęć nie pęknie?

— Położę ich siedem jedna na drugiej, a wyrwać się nie pozwolę sercu, bo ono nas gubi.

— Daż ci bogactwo szczęście? pytaliśmy go często.

— Już to mnie zostawcie... będę wiedział jak go użyć... szczęście dla mnie jest w dostatku, innego nie znam i nie rozumiem.

Lubił tak czasem, choć bardzo zawsze umiarkowany i milczący, gdy sobie cudzym kosztem podjadł i napił się—pobujać trochę i głośno pomarzyć, a wówczas budował pałace na lodzie, tak na pozór nieprawdopodobne, żeśmy pękali od śmiechu; żenił się, spekulował, wykopywał skarby, odkrywał sposoby szybkie robienia majątku, wymyślał najdziwsze i w romansach tylko trafiające się środki z bogacenia... a o jednej tylko pracy cichłej, powolnej i wytrwałej nie wspomniał nigdy.

Każdy z nas wówczas miał marzenia swoje, ale nikt tak wysoko jak on nie sięgał, liczył na milijony, przewracał się w złocie, żenił się z księżniczkami, pożyczał kapitałów królom i panującym, a tymczasem chodził w wytartym mundurzyku i nie nie zwiastowało, żeby te piękne sny kiedykolwiek ziścić się miały.

Zwaliśmy go żartobliwie Krezusem, za co się weale nie gniewał, pewicu będąc, że kiedyś na ten przydomek zasłuży...

Teofil Sorokowski, ostatni z tych siedmiu braci, był z nich wszystkich najszczerzój młodym, a najmniěj odgadnąć z niego było można, co późniěj z téj młodości wyrośnie. Każdy już miał przed sobą cel, zamysły, plan życia jakiś, pragnienie co go wiodło, Teofil jeden codzieln chwytal się czego innego, a sam nie wiedział na czém skończy. Namiętność i chwilowe uniesienie wiodły go czasem w najprzeciwniejszym wezorajszym kierunku, nie myślał nawet być logicznym i nie wstydził się weale sprzeczności nicustanněj z samym sobą, w jakiej zostawał między dniem wezorajszym a jutrem. Nigdy może dziwaczniěj temperament i imaginacya nie rzucały człowiekiem w różne strony. Nieźmiernie żywy, zapalał się w jednej chwili, oddawał cały, wypijał co pochwycił tchem jednym, ale natychmiast następował przesyt i rozezarowanie, zrażenie, obojętność.

Jednego dnia widzieliśmy go zaklinającego się, że musi zostać księdzem, bo czuje ku temu powołanie niezłamane, następnego myślał być artystą dramatycznym i chciał wszystko rzucić dla teatru. Tak samo postępował sobie z nanką, to do matematyki poczuwając namiętność gwałtowną, to do beletrystyki znowu powołanie niepoahamowane.

Na nieszczęście, miał nsposobienie mierne, a raezj zdolność znaezną mniěj więcej do wszystkiego, i póki się nie zraził, początki szły mu weale nie złe, łudził się tēm do niejakiego ezasu, a zapalając eoraz więcej, mniemał, że już trafił na drogę właściwą, ale to był fałszywy apetyt ezłowieka, co ezuje pragnienie strawy, a jeść nie może.

Główną chorebą jego była ta nieszczęsna nie-stałość i kaprysne rzucanie się na wszystkie stromy, od którego wstrzymać się nie mógł, bo weale nad sobą nie panował. Na chwilę tylko pod naciskiem wyobraźni, budziła się w nim silna wola, która przemagała pierwsze zapory, ale gdy zapal ostygł, rozum jēj wyrobić na dłużej nie potrafił. Fantazyja rządziła nim, utrzymywała w naprężeniu imaginacya, lecz gdy nerwowe pod-

budzenie ustało, siły opadały i czekać musiał osłabiony nowego powiewu, któryby nim pokierował.

Kładł się często spać niespokojny, aby co najprędzej jakiś plan przywieść do skutku, uczynić krok jakiś stanowczy, cały wieczór chodził brzemienny nim w gorączce... nazajutrz rano budził się, nie mogąc sam pojąć siebie, bo wszystko już było przeszło—namiętność, ochota, potrzeba; zostały tylko wątpliwość, trudności, cierpie, które nagle się zrodziły.

Był to razem powiedzieć można chwilkami najszczęśliwszy z ludzi, to znowu najboleśniej cierpiący—coraz nowe łudziły go mamidła, ale też na nieustanne odchlorowywał rozezarowania. A było to w nim podniesione do tak wysokiej potęgi, jak w żadnym z rówieśników, dał się bowiem zwycięzać bez oporu lada marzeniu, lada pokusie, a jedno nie potém rozbijało całe wojska przygotowane do boju—i pierzchały jak nocne wdziały.

Teofil nie był z nich najmłodszym choć na dzieciaka wyglądał; prawie zawsze widzieć go było można wesółym i niezmiernie zajęтым; śpieszył

się ciągle, nie chodził ale biegał, potraçał przechodzących, lada widok go zatrzymywał, o wszystkiém dowiedzieć się pragnął, i wszędzie stawiał ucha. Minę też miał ożywioną, oczy biegające, ruchy gwałtowne, a nikt go pół godziny na jedném miejscu siedzącego nie widział.

Małego dosyć wzrostu, blondyn, oczy miał ciemne, małe, ruchliwe i błyszczące, usta rumiane i wydatne, nosek mały i kształtny, twarz drobną i zaokrągloną, czasem wyglądał na eleganta, niekiedy zaniedbywał się zupełnie. Kochał się równie często i łatwo jak Konrad, ale miłości jego były weale innego rodzaju, nie sięgały wysoko, schodziły zbyt czasem nisko, szukając w błocie diamentów, które się rzadko po kałużach trafiają. W pierwszej chwili zakochania był Werterem, przysposabiającym pistolety, ale najlżejsza przeciwność ostudzała go i po chwili przerażającej boleści, z której szaleć się zdawał, przechodził w zupełną obojętność.

Umysł i serce miał niespokojne, i nigdy długo nie mógł wytrwać w stanie chłodnym normalnym, bez jakiegoś rozgorączkowania, rzekłbyś, że jak Salamandra do życia potrzebował płomienia.

nia. Gdy przez dni kilka brakło przedmiotu co-
by weń wlał życie i gwałtownie go zajął, cho-
dził jak chory i obumarały, a raczćj włókł się
osowiały, w przekonaniu, że niebezpiecznie jest
cierpiącym, ale lada wrażenie z téj choroby le-
czyło.

Całe życie jego przechodziło w takich paro-
zyzmach podbudzenia gwałtownego i zupełnej po-
niem prostracyi... szaleństwa i rozpaczy, znuże-
nia i gorączki. Wiedziano, że na to poczeiwe
lecz niebezpiecznemu temperamentowi podległe
serce trudno było rachować; poświęcenie nagłe
nie go nie kosztowało, wytrwanie było niepodo-
bicieństwem; w pierwszej chwili oddałby koszulę,
ostrzegłszy nie chciał patrzeć na tego, któremu
wprzód poprzysięgał przyjaźń do śmierci.

Na nieustanny taki ogień nie mogąc sam so-
bie wystarczyć, Teofil potrzebował podsyceenia
zewnątrz, samotność była mu nieznośną,— mu-
siał ciągle pod czyimś wpływem i panowaniem
zostawać. Każda też wyższość podbijała go w je-
dnej chwili; poprzysięgał jej cześć i posłuszeń-
stwo; ale nigdy przewidzieć nie było można, kie-
dy i dla czego wypowie poddaństwo, w które się

zaprzągł dobrowolnie. Satellita błyszczący kręcił się zawsze przy jakimś słońcu, koło którego zagrzawszy się nieco, odlatywał w przestrzenie. Wczoraj nigdy go nie obowiązywało do jutra, lecz niewiara chwilowa bardzo często ustawała, jak przyszła bez widocznej przyczyny, a syn marnotrawny wracał z pokorą pod strzechę rodzinną.

Teofil był synem obywatela urzędnika owodwiałego zawezesnie, który go miał tylko jednego; powiadano, że rysami twarzy przypominał piękną swą niegdyś matkę, która sławną była z czarującego wdzięku, żywości i dowcipu.

W twarzy jego było też coś kobiecego.

Ojciec osierocony, całém sercem przywiązał się do dziecka, które go wiązało ze światem, ale słaby dla jedynaka nieco, zbyt nie dogadzać mu musiał nie mając pojęcia surowszych wychowania obowiązków, obudzał w dziecku pragnienia, aby miał przyjemność zadosyć im czynić; budził nadto fantazją młodą, sądząc, że nią poruszy władze umysłu. Sam on był pierwszym nauczycielem syna i wpadł w ten błąd, w który i wytrawniejsi wpadają pedagogowie, że chcą naukę u-

czynić rozrywką, a pracę zabawą. Chodziło mu o ulżenie dziecięciu, zmieniał co chwila przedmioty, ukazywał ich stronę wybitniejszą i zajmującą, nigdy się nie powążył zmusić umysłu dziecka do surowszego i głębokiego zastanowienia. Podobало mu się to i zdawało rokować wiele, że dziecię pojmowało łatwo, pamiętało wybornie i chwytalo chciwie, ale gdy potóm przyszło nałamać je do cięższego zajęcia, znalazł niespodziewane trudności.

Umysł ten w żadne już kluby ująć się nie dawał, biegł na prost do celu, a drogi powolnej nie chciał krok po kroku przechodzić— usuwał zapory, przeskakiwał tany, od razu chciał stanąć u mety.

W młodej tój główce namnożyło się ułamkowych wiadomostek jak w norymberskim sklepie, ale przypatrzwszy się tym cackom, dostrzegł łatwo, że każda z nich była nadłamana, że tój brakło rączki, tamtój głowy, innej barwy, a innej sprężyny, któraby nią poruszała.

Wkrótce ojciec się uczuł niezdolnym dalej prowadzić swe dziecię, ale nie przestraszając się kaprysami jego, po ojcowsku pocieszał żywością u-

mysłu i talentami jakie co dzień znajdował w synu. Potrzeba mu było nauczyciela, trafił się jeden z tych ludzi co u nas zajmują się wychowaniem dla tego, że do niezego innego nie są zdolni. Był to biedny człowiek nie bez zdolności, ale z takim właśnie usposobieniem nieszcześliwém jakiego ziarno było już w przyszłym jego uczniu.

Skończywszy szkoły miał iść do Uniwersytetu, choroba go wstrzymała na wsi, potem naczytawszy się przypadkowo dzieł agronomicznych wziął się do gospodarstwa i zażądał mu poświęcić. Grad, pomorek, posucha i niepomyślny rok pierwszy spędziły go zaraz z tego stanowiska, jął się więc innego chleba i spróbował enkrowarstwa, którego znown z książek się wynaczył. Tu nie lepiej mu się powiodło, wstąpił z rozpacz do Seminarium, ale i tu nie wytrwał rok, zrzucił sukienkę i chciał się już żenić, gdy opór rodziców panny zrobił go nauczycielem.

Nie jest to jedno z najprzyjemniejszych powołań, nie dziw więc, że na niém skwaśniał do reszty, ale potrzeba powszedniego chleba trzymała go przy bakałarstwie. Wiecznie z siebie

i ludzi nie zadowolniony, żyjący rozpaczą i narzekaniem Atanazy wlał w dziecię, które mu powierzono wadę co go czyniła nieszczęśliwym. Wrażliwy chłopak nasłuchiwał się codziennie na nowo osnowanych projektów i napatrzył dusznych zawodów, a będąc usposobiony do zarażenia się tą chorobą, zawczasu ją przejął od mistrza.

Takim już z rąk pana Atanazego poszedł do szkoły, która z razu wydała mu się rajem po jedynackim odosobnieniu w domu, lecz pierwsze próby studenckiego życia tak go zraziły prędko, że gdyby był mógł, uciekłby ze szkoły. Zmuszony wprzódz się w jarzmo regularniejszej nauki, pilnować godzin, stawać na zawołanie, cierpiał i wykręcał się z téj niewoli jak umiał. Łatwo się domyślać jak nierównym był uczniem, przez kilka miesięcy odznaczając się nadzwyczajnymi postępami, to znów opuszczając się zupełnie. Nim nauki dokończył, rozpoczął zielnik, zbudował elektrykę, porwał się do kilku języków, które wprędce porzucił, a wahając się tak nieustannie przy egzaminach szóstej klasy jeszcze był niepewien jaki sobie przedmiot obierze.

Powrócił do domu na wakacje, ojciec nie mu narzucać nie chcąc, pilnie go badał, ale przypa-
dła właśnie chwila zniechęcenia do wszystkiego
i pierwszy wybuch poczyi; Teofil począł pisać
elegije i sonety, czytać niemieckich poetów i bła-
kać się po ciemnych lasach z czołem zachmurzo-
ném. Gdy przyszło wyjeżdżać do Uniwersyte-
tu, sam niewiedział jeszcze do czego się tam
weźmie.

Ojciec wcale nie chciał dziecka przymuszać,
nie umiał mu dopomódz do wyboru, a co gorzej,
ruchawość tę niespokojną umysłu biorąc za o-
znakę ogromnych zdolności, nie nastawał wcale
na stalszy kierunek i zostawił go samemu so-
bie. Zdawało mu się, że z tych materyałów sa-
mo się coś wyrobić powinno.

Pierwszych dni po przyjeździe do Wilna,—
wpadłszy w ten tłum młodzieży, Teofil zupeł-
nie oszalał. Naprzód samo miasto jakiego je-
szcze nie widział pełne starych pamiątek, po-
rywające wspomnieniami przeszłości, otoczone
poetycznym urokiem, zachwytiło go, obleciał gó-
ry i doliny, zbiegał uliczki, oglądał Kościoły,
wdzierał się na wzgórza, weiskał między zwa-

liska i w ciągłym był zachwycie, w nieustannój gorączce.

Nie spał, nie jadł, zapomniał o Uniwersytecie, napawając się nowemi dla siebie obrazami. Wielkie mury akademickie, nad któremi unosił się cień Stefana, uderzyły go ogromném wrażeniem; professorowie wydali mu się bogami, biblioteka świątynią, gabinety jakimiś tajemnic Eleuzyńskich przybytkami, a że wszystko nęciło, zrazu nie wiedział co począć z sobą. Jedno piękniejsze, większe, coraz więcej porywające zdawało mu się nad drugie; radził się wszystkich lecz jedna rada zbijała drugą, a każdy dzień powiększał niepewność.

Świat ludzi żywych niemniej go oczarowywał od świata umarłych, ta młodzież oszalała, wesola, z głęboką wiarą w swą przyszłość jasną, podnosząca czoło ku niebu, przejęła go zapałem; serca mu nie mogło wystarczyć na przyjaźnie które zawiązywał, na wzruszenia jakich doznawał.

Napróżno go oblewać chciano zimną wodą rozwagi, której między towarzyszami nikt nie

miął sam wiele,— jak na rozpalonym kamieniu
- kropla ta obracała się w parę wrzącą.

Teofil nareszcie zapisał się na wydział literacki będąc jeszcze pod wrażeniem poczyi, której ospę przebywał. Wypadkiem zaszedł na wykład fizyologii i medycyna wydała mu się jego powołaniem, najpiękniejszą z nauk. Będę czy nie doktorem, mówił, ale się mogę nauczyć wiele... kto wie, może odkryję później jedną z tych prawd jakimi znaczą się epoki w naukach.

Począł więc chodzić na medycynę, ale zaraz od kilku początkowych lekcyj anatomii upadł na duchu, pamięcią roztargnioną nie mogąc wystarczyć ogromowi nazwisk, które potrzeba było udźwignąć.

Postrzeżono go zniczekonym, ostygłym, tającym się z nowym jakimś postanowieniem, wreszcie powrócił do literatury. Czynił tak wycieczki co tydzień do innych oddziałów, zapalał się z kolei do prawa, astronomii, do teologii i pedagogiki... ale że mu jakoś najswobodniej było z literaturą, znużony wysiłkami, w niej szukał przytułku.

Co z niego mogło zrobić życie? nikt z nas na to pytanie odpowiedzieć nie umiał.

Zdawało się nam wszystkóm, że wielka zagadka przyszłości rozwiąże się dla nas tak jakżeśmy wówczas przewidywali. Nie zuchwalszego nad młodość, niekiedy jest w niej jakiś przeczuć wieszczę, ale najczęściej skacze ona nad przepaścią i śpiewa ani się domyślając, gdzie ją popchnie silniejsza ręka Opatrzności.

W téj ciżbie zbiegającej się zewsząd młodzieży, zaprawdę jedném z najciekawszych było to przygotowywanie się do życia, o którém marzył każdy po swojemu, a nikt z nas pojęcia nie miał. Marzenia były olbrzymie, życie miało je spłacić swoją zdawkową miedzianą monetą dni powszednich.

Ale któżby był wówczas o czémkolwiek śmiał wątpić?— wszystko tak łatwą przedstawiało się zdobyczą! tak dostępném, tak dla nas przygotowaném! Uczta stała zastawiona, czekano tylko na biesiadników.

Kilku może starszych i doświadczeńszych poj-
mowało zadanie surowiej, poważniej widzieli
przyszłość i pracowali na nią z jakimś wczes-
nym smutkiem i rezygnacją odczarowania.

Może najchłodniejszą z tych istot wyjątko-
wych był nasz towarzysz Baltazar, nie młody
już człowiek, przezywany czasami Heraklitem,
dla tego, że świat widział ze strony prawdzi-
wszój i nie wiele się od niego spodziewał. Był
on od nas wszystkich znacznie starszy, spóźnił
się jakoś do Uniwersytetu zbierając wprzód środ-
ki materyalne dla niezależnego przebycia tych
kilku lat nowicyatu. Wyszedłszy ze szkół, dość
długo na wsi zajmował się nauczycielstwem,
skapiąc niesłychanie, ażeby potem być zupełnie
nie zależnym i przy nauce nie troszczyć się już
o chleb powszedni. Ta pielgrzymka pedagogi-
czna nauczyła go świata i ludzi, odbierając mu
pozostałe złudzenia młodości; przyszedł w ten
świat młody tak różnym i daleko dójrzalszym,
że go nie łatwo przyjęto, ani się z nim oswojo-
no, wydawał się im starcem myślą, mową, po-
stępowaniem i zupełną z otaczającymi stanowił
sprzecznność.

Nim się on dobił tych kilkuset rubli, które chciał mieć przed sobą, podstarzał dobrze, wytęsiał i nieczartem waleczyć musiał; nieszczęście chciało, że go różne wypadki wstrzymywały po drodze, praca przepadała, nie uiszczała się wierzyciele i co raz zarobił, tracił, nieogłębnie powierzywszy. Ale innegoby może było do rozpacz przywiodło i na wieki szyki spletało, Baltazara zrazić nie potrafiło. Rozpoczął na nowo zawód swój ostrożniej, wybierając domy, bez zapалу, ale sumiennie spełniając zobowiązania, nie dając się światu zagarnąć i stale przysposabiając do obranego zawodu.

Potrzeba było w istocie niezem nie zmożonej wytrwałości jego, żeby zapomniawszy o szkołach, skosztowawszy trochę swobody, podstarza-temu a mogącemu mieć zawsze kawałek chleba, powrócić znowu na ławę, sięść na niej obok młokosów i rozpoczynać *ab ovo* studenckiego życia koleje.

Baltazar w chwilach wolnych na wsi od zatrudnień bakałarskich przysposabiał się do medycyny, którą sobie obrał zawczasu, tak, że gdy przybył do Wilna lepiej od innych był przygo-

townym, miał książki, ogólne pojęcia o rzeczy i stawał do téj walki inaczej od nas uzbrojony.

Całkiem też inaczej uczył się niż inni, systematyczniej, łatwiej, i pilniej daleko, to pewna. Obrachowawszy ile mu na pięć lat kursów było potrzeba do życia, panując nad sobą despotycznie, ani litością niewczesną, ani złudzeniem zadużem, ani spuszczeniem na opatrzułość nie pomieszał sobie wcześniej porobionych rachunków. Dla siebie i dla drugich zarówno był nie-litościwym, a porządek drobnostkowy stanowił jedną z ważnych sprężyn jego życia. Co raz pomyślał i powiedział sobie tego dopełnił niechybnie, nieczem się odwieść nie dając od zamierzonego celu. Wszystko u niego było z góry wyrachowane, nawet wypadek choroby ciężkiej i kosztów jakie za sobą mogła pociągnąć, które w razie zdrowia inne otrzymywały przeznaczenie.

Dla współtowarzyszów jakkolwiek zrazu nie sympatyczną był figurą, bo każdego chłostał jak dzieciaka morałami z zimną krwią starego pedagoga;— musiano jednak uznać jego wyższość

nad sobą i uważać go za reprezentanta chłodnego rozsądku w gronie, w którym fantazyje, marzenia, serca i popędy panowały.

Swobodniejszy od wszystkich prawie, bo bez rodziców i krewnych, pan siebie, Baltazar jednak był przykładem jak mając wolność wszystkiego, mało używać się godzi. Nikt zdrowiej, ale zimniej nie pojmował życia, i jeżeli wyzwicie się dobrowolne ze wszelkich złudzeń i marzeń, a przywiązanie do rzeczywistości, cechować powinno medyka, człowiek ten był prawdziwie powołany do stanu, który obrał sobie.

Dla niego świat ducha nie istniał wcale, życie było gościńcem szosowanym, prostym, gładkim, z którego pod strachem obłędu i niebezpieczeństwa zboczyć sobie nie pozwalał na chwilę.

Nie szukał on przyjaźni młodych, ale ich nie unikał, a miał tę wadę, że odzierał tych do których się zbliżał ze wszelkich marzeń, któremi kołysać się nam było tak dobrze i miło! Zda się nawet, że ten experiment stanowił dlań cały powab obezwania z młodzieżą, bawiła go

jćj nieopatrzność, śmieszyła rozpacz, gdy straszliwy kościotrup z za zasłon ukazał.

Baltazar wyglądał może starszćj niż był powinien, a przeszłość jego prócz tego, że pracował bakalarzując, była dla nas tajemnicą—nikał wszelkićj tyczącćj się jćj spowiedzi. Zasady jego dozwalały się domyślać, że pochodził z ludu, był bowiem demokratą, a nieszczęsne koleje jakie przeszedł po domach pańskich, kierunek ten czyniły w nim wybitniejszym jęszczęze.

Pełen taktn i umiarkowania wyciągał zrzęcznie wyznania z młodzieży, ale sam przed nią nie spowiadał się nigdy— było to nieco rachubą, bo wszelką spowiedzią człowiek się w pewien sposób oddaje na łaskę temu przed którym się odkrywa,— Baltazar zaś najgorćcej o niezawisłość się dobijał.

Fizyognomia jego dziwnie odbijała od mundurnu, był bowiem dobrze łysy, trochę otyły, a wczesne zmarszczki odebrały wszelką świeżość rysom jego, jakby zmęczonym i uwię-

dłym. O wieku nawet swoim nie mówił nigdy nikomu.

Kraglój i tatusiowatěj twarzy nie miał na niěj nic prócz wyrazu lekkiej wzgardy spokojnej a głupkowatěj i szyderstwa milezającego, wiele przytém godności i powagi w ruchach i postawie, choć nieco sztywněj i przymuszoněj. Znać było, że się w chomacie pedagogicznym nałamał. Bardzo bystry w poznawaniu łupiny ludzi, zadziwiał często od pierwszego wejrzenia chwytając człowieka, ale już później nie z niego nie dobył więcej, z młodzieżą zresztą łatwiej mu to przychodziło niż z kimkolwiek, bo ta nigdy komedij nie grała i serec nosiła na dłoni. Dość mu było parę razy zobaczyć kolegę, żeby go prześwidrować na wylót i przepowiedzieć mu nawet przyszłość; obawiano się jego żartów, ale szanować go musiano mimowolnie i niepodobna było nawet siedząc z nim na jednój ławie spoufać się z nim całkowicie.

Dla niego znown żadna wyższość nie była powagą mogącą go ukorzyć i ugnać, ani położenie towarzyskie, ani stosunki, ani talent, ani żywość i odwaga, ni te nawet przynioty, na

których mu widocznie zbywało nie wzbudzały w nim czei i poszanowania. Człowiek nie był dlań już ciekawém zadaniem, bo go sobie wi-
dać rozwiązał zawczasu.

Mieszkania akademików rozsypane były po całym mieście, każdy sobie stosownego szukał, w ogóle cisnęli się wszyscy po zaułkach i oddalénszych uliczkach, gdyż tam najem był dla kieszeni studenckich przystępniejszy. Wielu zbierało się w kupki, po kilku i kilkunastu w kwaterach wspólnie najętych. Traf zrządził, że siedmiu wymienionych i Baltazar nawet, w dwóch sąsiednich kamienicach na Łotoczku się mieścili; wiedli więc życie niemal wspólne, a że młodzież potrzebuje towarzystwa, rzadki był dzień, żeby się u którego z nich nie schodzono. Sera-
pion neżył dzieci ubogiego rzemieślnika na dole i najmniej może wciągać się dawał do tych wrzawliwych posiedzeń, uśmiewając się tylko na ich szale i wesele; jeden Albin w téj samej kamieniczce mający parę pokoików na górze, porywał

go najczęściej, wylewając przed nim swą rozkochaną i rozezuloną duszę. Longin Macedo obok w drugim domu miał ucznia w rodzinie urzędnika, gdzie spełniał obowiązek tak zwanego dozorecy.

Konrad choć sobie szukał mieszkania na paradniejszój ulicy, bliżej tego świata ku któremu go serce ciągnęło, został zmuszony wreszcie pozostać przy Łotoczku, a to go szczególniejszemu skusiło, że tu miał salon i kilka pokojów, które gdzieindziej we dwójnasób by tyle kosztowały, miał okna od ulicy i apartament weale przyzwoity i choćby w nim oddającego wizyty magnata przyjmować przyszło, nie potrzebował się wstydić. Może mu to nie dogadzało, że towarzysze tak zbliżka trzymali go w oblężeniu i na sposób życia jego otwarte mieli oczy, wiedząc nawet, kiedy wychodził i powracał, kogo u siebie przyjmował, jak dzień każdy poczynął i kończył, ale mniej więcej wszędzie nie uszedł by oka towarzyszków, którzy lepszą od miejskiej mieli policją.

Cyryll, studnia mądrości, w tejże kamienicy na tyle uczył dzieci i mieszkał, obok mając Jordana

Hruszkę, a na drugiej galleryi Teofila Sorokowskiego.

Baltazar mieścił się obok w parze stancyjek, które większą część roku szczelnie dla gości były zamknięte. Spotykano się codziennie, widywano nieustannie a wieczorami schodzili się wszyscy do kupki, albo w wytwornym apartamencie Konrada, jeśli przyjmował, a nie był gdzie w mieście, co mu się najczęściej zdarzało, lub u Teofila Sorokowskiego.

Szczęściem, mieszkanie jego choć nie od ulicy i nie okazałe, dosyć było obszerne, a że jedno okno jego wychodziło na galeryę od dziedzińca, idąc do Teofila koniecznie koło niego przechodzić było potrzeba. Każde więc niespodziane najście Pietraszewskiego lub Giedrojeja, znajdowało ich przygotowaniami, a w razie niebezpieczeństwa można było drapać drugimi drzwiami.

Baltazar rzadko wpuszczał do siebie, gdyż choć nie tak dbały o wytworność i porządek jak Konrad i Albin, niezmiernie jednak pilnie godzin i ładu u siebie postrzegał, a każdy napływ współtowarzyszów musiał za sobą nieść rozstrój i nie-

ład chwilowy. Niepodobna mu było powstrzymać ich całą swą powagą od przerzucania książek, wytrząsania fajek pośrodku izdebki, rozstawiania krzeseł, które miały miejsce sobie wyznaczony i przewracania łóżka bardzo troskliwie zasłanego.

Baltazar utrzymywał, że żadne te uporządkowanie, przy którym obstawał, oszczędzało mu wiele czasu, a niewola pozorna była potrzebną tam, gdzie najcystszy kapitał przyszłości stanowiła każda godzina. Mieszkanie jego tętnęło tą surowością, która panowała całemu życiu jego; czysto, schludnie w nim było, ale goło i chłodno, nie nie powiadało o sercu, które nie zdawało się tu mieszkać.

Żadnej nigdzie pamiątki, nie coby myśl od rzeczywistości oderwać mogło, nie dla przyjemności i rozrywki nie znalazł w tej celi anachorety. Łóżecko ciasne i czystechno usłane, na którego pościeli widać było, że dość długi czas służyła, krzesło do pracy wygodne, stolik, na którym stosy książek poklasyfikowane były przedmiotami, kałamarz zawsze od suchot obwarowany korkiem, kilka piór świeżych i nie głębiej nosa zamacza-

nych w atramencie, papier biały, symetrycznie wedle wielkości ułożony. Na półkach mniej potrzebnych książek trochę, w kącie pół szkieletu tylko, bo połowa starczyła do nauki a mniej niż cały kosztowała; parę słoików z preparatami, trochę odzienia oponą okrytego na szaragach, otóż i wszystko.

Ale smutne to gospodarstwo całego przyszlóscią zajętego człowieka, trzymane było w tak starannej czystości i symetrii, że malując w nim zupełny brak uczucia, wzbudzało jakąś ciekawość dla istoty, co tak umiała panować nad sobą, by zakrztusiwszy się nawet szukać piaseczniczki i na podłogę nie splunąć, a zatęskniwszy, smutek zabijać tylko niezmordowaną pracą.

Drzwi tego mieszkania zawsze były hermetycznie zamknięte i rzadko je nawet natrętném kołataniem otworzyć było można, jeżeli gospodarz miał zajęcie. Naówczas jęk nawet boleści nie mógłby wielitościwój kłamki poruszyć.

Cale inaczej wyglądały mieszkania Konrada, któreśmy już opisali, zapierające się studenctwa i ndające apartament dejrzałego człowieka, Jordana, Teofila i Albina.

Albin swe pokoiki przystrajał codziennie z wdziękiem jakimś niewieścim, starając się by mu wieś przypominały, lubił kwiaty, miał dosyć cacek, mnóstwo pamiątek, a przed rabunkiem naszym zamykał je skrzętnie w kryjówki szkatułek.

Najczęstszym przytulkiem, zwykłą giełdą naszą, było wspomniane coenaenium Teofila Sorokowskiego, gdzieśmy się o wszelkiej porze dnia i nocy schadzali, bo zawsze stało gościnnie otworem. Dość wielki pierwszy pokój, choć trochę ciemny, bo miał tylko dwa okna, z których jedno na przysłoniętą okapem galeryą, drugie na przeciw ściany sąsiedniego domu, niedopuszczającą nigdy światła słonecznego, wychodziło, był zwykłą akademików gospodą, ale od najazdu nie uwalniał i sypialni Teofila, która się z nim stykała. Można sobie wystawić w jakim stanie i porządku była zawsze ta salka narady, nauki, wieczornych schadzek i przytułku opóźnionych, którzy tu do koła na sofach całe często noce spędzali.

Trafiały się dnie, że jej nawet zamieść czasu nie było, bo od rana nieustannie wychodzący i przybywający zajmowali ją, mieniając jedni dru-

gich. W pośrodku był stół dosyć wielki, z rozbitą zawsze paczką wagsztaffu w jednym końcu; na nim siadali często ci, którzy potrzebowali nawet odpoczywając nogi mieć w ruchu, przykład tego nadużycia dawał najczęściej sam Teofil.

W kącie prawie zawsze syczał niewygasły samowarek biały, blaszany z przekrzywionym na łbie kominkiem, z którego woda gorąca ciekła tak powoli i cieniuchno, jakby na siebie wzięła uczyć cierpliwości młokosów. Ważnym tu także sprzętem był piec, w którym gorzało zawsze, a jednak izba ta w zimie na nieuleczone chorowała chłody, gdy latem za to parno w niej było nie do wytrzymania.

Zresztą, prócz znanych dwóch okien, nie dających żadnego widoku, sof i kilku krzeseł bardzo prostych, z których jedno odznaczało się oblamanym i mundury odzierającym poręczem... nie tu więcej nie było.

Mylę się, był chłopak, sługus akademicki, zwany Cymbusiem, to jest spieszzenie Cymbałem, zawsze na straży przy piecu lub samowarku i tak weielony w żywot akademicki, mimo swój

głupoty, że żadna rozmowa bez jego uwag i komentarza się nie obeszła.

W wielkich wypadkach, gdy zgromadzenie zbyt było liczne, by do rozpraw w niém czas mógł znaleźć, Cymbuś poważnie mileżał, ręce założywszy na plecy i chwycił tylko co kto mówił uchem ciekawém, ale z dwoma lub trzema, puszczał się śmiało w dissertacye i narzekania. Wieczną dolegliwością jego było znużenie, na które się zawsze uskarżał, zresztą bardzo naturalne, bo nie miał chwili pokoju i żaden negr tyle co on nie pracował. Nie mając czasu myśleć o sobie, Cymbuś był zawsze obszarpany i odarty, a że kulał nicco na jedną nogę i mocno był oszpecony od ospy, całkiem się już wyrzekłszy wszelkiej nadziei przypodobania romansowym kucharkom, wcale nie dbał o to jak wyglądał.

To smutne wydziedziczenie z najśłodszych życia marzeń, musiało wpływać i na humor jego, niewyleczenie kwaśny. Niewiadomo kiedy sypiał i czy się do snu układał gdzieindziej jak na rogu sof, gdzie go często na wznak spoczywającego z gębą otwartą znajdowano;— ale jak skoro wstał na nogi, porywany był co chwila. Pan sam

posyłał go to po wagsztafl, którego zawsze brakło, do Opitza, to po bułki, to po kawę, po książki, po wodę, a ledwie wróciwszy musiał dmuchać w zagasły samowarek, poprawiać w piecu, fajki nakładać i zmiatać, czyścić odzienie i drewka przysposabiać. Samo zmiatanie było robotą Penclopy w pewnym względzie, nigdy się nie kończąc, raz że je przerywano pilniejszymi rozkazy, to że miejsca oczyszczone natychmiast warstwą śmiecia okrywano znowu. Wiecznie tam z którejś strony leżała szczotka, oznaczająca miejsce gdzie robota przerwana została, ale nie mogąca powstrzymać nikogo. Uważano później, że nabywszy więcej doświadczenia, Cymbuś już się nawet nie kusił o zmiatanie codzienne; bardziej uderzające śmiecia nogą popychał w rezerwoary podkrzesłowe, a na pospolite patrzył zupełnie stoickim zgodzeniem się z wolą przeznaczenia.

Cymbuś zresztą raiwnie głupawy i ciekawy, miał jedną wielką cnotę, której go wyczyła potrzeba, nigdy nic nie widział, choć na wszystko patrzył i słuchał. Niewiadomość ta udana była wysoką ostrożnością, dowodzącą pocziwój niewiary w siebie. Nie będąc bowiem pewien co godzi

się a czego mówić nie można, wołał o wszystkim milczeć, stając głuchym i ślepym. Wzdychał do wsi i choć nie był w ścisłych związkach ani z łabędziem Mantuańskim, ani z dziedzicem Mandeli, nieustannie z pod picea wolne tłómaczenie z łacińskiego:

O rus! quando te aspiciam!

powtarzał.

Literatura jego ograniczała się poczętym od roku Sindbadem, którego przygod dokończyć nie dawały mu liczne zajęcia gospodarskie; miał także Sennik pod poduszką.

Teofil zawsze potrzebujący towarzystwa i łaknący nowości, najuprzejmiej wszystkich przyjmował; w jego mieszkaniu można się było o wszystkiém dowiedzieć, tu odbywały się narady, poszukiwania, ztąd płynęły rozkazy do rzeczypospolitej studenckiej, często despotyczne, ale zawsze najściślej spełniane.

Rzadki był dzień, w którym ten wiecowy plać

na parę godzin został pustym, a Cymbuś wówczas wyciągał się na sofie z nieopisanym lubieżności wyrazem.

Czyniło mu to nieopisaną przyjemność, gdy sam na sam pozostał z samowarem i imbryczkiem; czuł wszelako niepokój, jakby się coś działo przeciwko naturze, odwracał się co chwila do drzwi, i okazywał jawnie podziwienie swoje. W lecie, ku wieczorowi częściej się to przytrafiało, bo młodzież uciełał uroczę okolice i przechadzki, zimą chyba teatr i panua Izabella Górską, mogły tak do nogi wyludnić Caenaculum uasze.

O! gdyby te ściany opowiadać umiały! ileżby to charakterystycznych rozpraw powtórzyć mogły, ile scen zajmujących przedstawić! Ilu ludzi, których piękna i wielka przyszłość czekała, zasiadali tu z marzeniami na tych sofach, w ciasnych mundurzykach akademickich!

Jednym z najrzadziej odwiedzających gospodę, był Baltazar, ale i ten czasem potrzebował się odświeżyć, spocząć, dowiedzieć o czémś i połajając nas, schodząc z wyżyn swych ku nam na chwilę.

Naówczas wielki chór głosów witał zstępującego na ziemię bohatera, który się uśmiechał, sia-

dał i studził nas, przykładając do rozpalonych skroni swą żelazną i zimną logikę. Nie miał jednak w sobie tyle siły by szął młodzieńczy zahamować, i choć go nie podzielał, pędu jego nie powstrzymał. Jeden wrażliwy Teofil milkł przy nim, chowając jak ślimak rogi, uczucie i fantazję, zaraz z gorączki przechodząc w zwątpienie, bo go najmniejszy kamyk na drodze mógł do zaoferowania zmusić.

Serapion milczek najeczęściej zasiadał gdzieś w ciemnym kącie i słuchał, nie dzieląc naszych uniesień i nie wdając się w rozprawy — czasem tylko rzucił wielkiem a niezrozumianem słowem, poddanem mu przez Ewangeliczkę, którą prawie umiał na pamięć.

Albin spowiadał się ze swęj miłości i przyszłego życia wedle wzoru, jaki mu serce jego rysowało; Longin rozbijał nas szyderstwami, Konrad karmił teoryami przyszłości i reform, Cyryll przynosił tu stare szpargały, Jordan swe spekulacje wymarzone, a inni zbytek życia, który się co chwila słowem lub ruchem, pieśnią i wykrzykiem wylewał.

Ten tylko, kto nigdy młodym być nie miał cza-

su, nie wie jak zuchwałym jest umysł całą siłą w téj chwili, w życiu jedynéj, pomykający się w górę. Strzela on jak kwiat, na który zdobywa się roślina całą potęgą w niej ukrytą i podsycającą powietrzem, światłem, rosą i deszczem niebieskim...

I jak ten pierwszy kwiat, umysł rzeźwy nie ku ziemi, z której wyszedł, ale się drze wysoko, zuchwale i zdaje mu się, że łodygą swą dotknie lazrowego niebios stropu.

Jest-że zadanie, na któreby odpowiedzi brakło młodości? nad którémby się ona zawahała? które by ona poszanowała jako tajemnicą okryte? Zagadki wieków zdają się jej igraszką, a starość eo wątpi, niepojętą chorobą; wszystkie już mając słabości ludzkie w sobie, gry ich nie pojmuje, skutkom się dziwi, radaby odbudować i nie wątpi, że to uczyni...

Ale jakże prędko potém przychodzi odczarowanie?

W okolicach Łetocza, na małych uliczkach sąsiednich mieścili się także w wielkiej liczbie

towarzysze nasi, i dla nich otworem stojące mieszkanie Teofila służyło za plac najnubniejszej schadzki. Tu przedstawiali się i zapoznawali nowo przybyli młodzieńcy pragnący zjednoczyć ze starszą bracią, co ich poprowadziło do źródła; tu czasem zaglądali ci, co zrzuciwszy mundur, tęsknili jeszcze za nim, i choć rzadko, zjawiał się jednak niekiedy surdut nie należący do wielkiej korporacji akademickiej człowieka, co tu zabłądził, aby się młodym dnem orzeźwić.

Z kolei wedle fantazyi Teofila gospodarza domu, który się zbyt często przerzynał w różne postacie, co Cymbnsia do rozpaczki przyprowadzało— zgromadzenie też otaczające go przybierało coraz inny charakter. Literatura, medycyna, teologia, historia, otrzymywały pierwszeństwo, i wychodziły na stół chwilowo, by wkrótce potem zlecieć z niego.

Rozmowa rozpoczęta o jedném, nie długo zatrzymywała się na przedmiocie obranym, z którego spychały ją zaprzętnienie chwilowe na największe często i najzawilsze kwestye życia. Nie było przedmiotu o któryby nie zawadzili, a najnieodstępniejsze były właśnie upodobane.

Zapasy z niemi przedstawiały porywy Tytanów, górami ścielących sobie drabinę do niedostępnego nieba, od którego piorun rzeczywistości miał ich odepehnać.

W religii, w pol tyce, w nauce historyi społeczeństw, w nieodgadnionym rozwoju ludzkości, najtwardsze węzły rozeimano co dnia metodą Alexandrowską—toporem, szablą. A co marzeń kwitło w téj ciemnej izbie zadymionej fajkami i istnem pandemonium Hoffmarowskiem, w którego obłokach jak anieli na obrazach młode i świeże promieniały twarzyczki, Albina dumającego o koehance, Serapiona marzącego o życiu, Longina wzbijającego się na najwyższe stanowiska, które zdobyć miał jednym prawicy zamachem, Konrada przerabiającego społeczność, Cyrylla reformującego naukę, Jordana rachującego zyskane miliony, Teofila upędzającego się za coraz nową mrzonką efemerydą, i Baltazara osłoniętego nieprzebytą tajemnicą. On tu jeden wyglądał jakby dlań prócz patentu na doktora nie nic pozostawało do uzyskania—reszta jeszcze chodziła po różach nadziei wonnych i niezwiędłych.

W kątku tym tworzył się w ten sposób cały osobny światek wystarczający sobie i niebardzo skwapliwy do przyjęcia obcych mu żywiołów... Jeden Konrad czynił z niego wycieczki do salonów, przynosząc często gorycze zawodów, rozpaczę zawiedzionych miłości— reszta żyła najwięcej w swoim kółku. Serapion zrazu postarał się być o kondycję, o którą nie było łatwo, ale z rodziną ubogą, do której się dostał nie mógł się pogodzić mimo swęj pokory i umiarkowania, a w pierwszej chwili zboleń Albin wyciągnął mu rękę i gwałtem prawie wziął go do siebie, dzieląc się z nim czém mógł, co miał. Mniej niż ktokolwiek Serapion mógł zawadzać— pokorny, cichy, małał i drobniał, aby się nie stać natrętnym, a sobą służył ofiarą chętną i serdeczną dla drugich.

Albin mógł się przed nim wylać ze swoją miłością, nadziejami, czytać mu pełne achów poezye, pewien, że się z nich Milezek nie rozśmiejce, i całe noce trzymać go opowiadaniem dziejów miłości swęj dla Anusi. Jemu jednemu tylko pokazał jęj miniaturkę wieńcem zeszlęch niezapominajek otoczoną, i pierścioneł, który miał

od niej, z obawy szyderstw i przypadku nieszczęśliwego nie na palcu, ale na piersiach noszony.

Longin, który był także powiernikiem Albina, nie tak go słuchał potulnie i wzbudzał obawę, nie wiem dla czego wszakże hamując się z szyderstw, jakby miał litość nad rozmarzonym dziećciem.

Cyryll, jakeśmy wspomnieli, dostał był także zajęcie w domu sąsiednim u ludzi nie za-
możnych gdzie za stół i bardzo szczupłą izdebi-
nę musiał naucezać nie tylko chłopaka rozpuszezo-
nego i leniwca, ale jeszcze dwónastoletnią jego
siostrzyzkę. Była tam w tym domu jeszcze je-
dna panna wcale nie szpetna, którą znano, wi-
dując ją często przez okno i imieniem Telesfo-
ry nie wiem z jakiego powodu w słowniku aka-
demickim ochrzczono.

Panna Telesfora już dojrzała wyglądała mę-
ża lada godzina i zdawała się mocno zajęta
swoją przyszłością, której ciągle w oknie jak-
by się jej na ulicy zjawić miała, oczekiwała.
Badaliśmy o nią i jej familią, Cyrylla, ale on ni-
gdy o nich nie mówił, a panny nawet zdawał się

nie znać, tak go książki zajmowały. Konrad z nią czasem polował na wejżenia, ale tylko w chwilach rozpacz, gdy go wszystkie generałówny i radczanki zdradziły. Ona też weale nie zdawała się rachować na niego, a stalsze nieco miała zamiary na przystojnego kancelarzystę, który eodzień dwa razy Łotoczkiem, w florausem podbitym płaszczu, mimo okien jęj przechodził, a niekiedy nawet bywał u jęj rodziców. Rozwinięciu się na większą i swobodniejszą skalę tęg miłości wiele zawadzały oczy akademików wytrzęszezone zewsząd i niepokojące pannę i kancelarzystę. Musieli się ograniczać niememi wejżeniami ku sobie i telegrafią, któręg znaki tajemnicze dla widzów nie były zrozumiałe.

Niekiedy okno panny Telesfory zasłonięne było do półowy krosieńkami, czasem stawały w niem wazoniki, szklanka z wodą, i tym podobne sygnały, których znaczenia tajemniczego metodą Champoliona piérwszy Longin się dobađał. Kancellista też różnie nosił parasol, papiery, laskę, chustkę fularową, płaszcz, surdut wedle potrzeby oznajmicnia o swych obrótach ukochanęg Telesforze...

Jordan Hruszka miał najlepszą kondycją w majątnym domu, w którym także znajdowały się dwie panienki dorosłe, śliczne niebieskookie blondynki, bardzo podobne do siebie, z tą różnicą, że jedna z nich, starsza, miała twarzyczkę zawsze uśmiechniętą i połowę białych ząbków świecących w niedomkniętych ustach, druga czegoś smutna wyglądała jak podeity kwiatek.

Byli tam jeszcze ojciec i matka i maćki synek, którego Jordan był mistrzem. Ojciec zwano panem Prezydentem, a po sposobie życia ich poznać było można, że musieli być majątni; trzymali bowiem powóz i konie, oddawali i przyjmowali mnóstwo wizyt, miewali na wieczorach tłumnych gości i należeli do uprzywilejowanego świata. Pani kwestowała z córkami po kościołach przy grobach, a żaden bał się bez nich nie obszedł.

Oszczędność jednak wielka panowała w domu przyzwoicie utrzymywanym, z należą ostróżnością, by pewnych nie przechodzić granic. Jordan Hruszka nudził się u nich, narzekał na skępstwo i zbytnią gospodarność, ale prezydentowi, żonie jego i dzieciom przyznawał, że byli

wcale debrzy Indziska. Z Manią i Ziunią rzadko się spotykał choć w jednym mieszkali domu, matka bowiem niezmiernie była surowa, nie spuszczała ich z oka na chwilę, a dziewczęta bardzo skromne; na każde śmielsze wejście rumieniły się jak jabłuszka. Zawsze je ponbierano jednakowo, w jednobarwnych kapelusikach, w jednego kroju sukienkach, widywano idące na mszę i powracające z matką do domu. Gdyby były bogatsze, Konrad gotów się był w smutnej pokoechać i miewał chwile zadumania, gdy kto o niej wspominał, ale Hruszka zapominał, że w domu o pięćdziesięciu tylko tysiącach posagu była mowa, a to nie mogło zaspokoić Konrada, który niżej dwóchkroć z żoną nie przypuszczał.

Hrabstwo lub wielkie imię i stosunki, mogły tylko wpłynąć na zmniejszenie wymaganych kroków, a tych tu nie było.

Mania i Ziunia musiały być przez ostróżną matkę nauczone weześnie, gdyż względem narodu akademickiego trzymały się zdaleka z jakąś obawą i nieco wymuszoną oziębłością, która widocznie była nakazaną. Mania uciekała z okna

jak tylko się w przeciwnych szybkach mundur zwodzicielski ukazał.

Otóż i całe prawie sąsiedztwo... ale nie koniecznie na ułom. Niżej naprzeciw mieszkała dramatyczna rodzina szewca Pilsucia, z którą przez dzinrawe swe buty akademicy byli w częstych i poufanych stosunkach, a na domiar pokuszenia, Pilsuń miał także dorosłą córkę pannę Różę, ślicznie stworzonego, świeżego, wesołego, śpiewającego, drażniącego, śmiałego i zdającego wyzywać przyszłość na pojedynek.

Róża co do wdzięku nie ustępowała żadnej z pańienek pierwszego piętra, choć mieszkała z rodzicami na dole w trzech ciasnych izdebkach, u których okna stał wyprostowany sztyl z butem o żółtych sztylpach, drugim z kutasem węgierskim i trzecim karbowanym misternie na podbiciu wedle dawniej mody. Oprócz tego na pręcie żelaznym przed pracownią wisiał jeszcze wielki but drewniany pozłacany, *armes parlantes*, inweneya pana Pilsucia nieco naśladowaniem złotych obwarzanków i złotego wieprza, telnącą.

Pilsuń był rzemieślnikiem pracowitym, żona jego niestety! niegdyś piękna, chorowała na

weale niepotrzebną elegancję. On sam nosił surdut krojem kapotowym i kapelusz tylko na święta wielkanocne i procesye cechowe, ona stroiła się starannie, zawsze z pretensją do mody, a że córkę swoją chciała wyżej na drabianie społeczeńj umieścić, choć nie wiedziała jak i którędy ją tam zaprowadzi, dała jęj, wedle swych pojęć edukacją wysoką. Rózia chodziła na pensją do Dejblów, miała fortepian i metra, śpiewała arye włoskie, stroiła się— ale mimo tych pozorów panienki, była to dziecię sklepni i nieszki, żywe, potrzebujące gwaru, śmiałe aż do zachwalstwa, nieopatrzne, namiętne.

Matka ani ojciec nie pilnować jęj nie mogli, pełno jęj było w oknach, na progu, w ulicy, w korytarzach, a najczęściej stawała w ganku i tam nucąc piosenkę, lub gryząc orzeszki, studyowała swobodnie przechodzących. W chwilach wielkiego roztrzepania trafiało się, że zuchwalszym języczek pokazywała.

Rózia miała tę piękność uderzającą, jaką się czasem odznaczają dziewczęta gminu, dosyć pospolitą ale pełną życia, nie zbyt idealną, ale przejmującą wyrazem; oczy czarne, żywe i sza-

łone, usteczka rumiane, drobne, ząbki jak perły, rączki i nóżki małeńkie, w pasie aż do zbytku była przecięta dzięki staraniom matki, która to miała za wielki wdzięk w kobięcie, ruchy i postawa były pełne i mile, a instynkt kobięcy nauczył ją zawsze się z gracyą obrócić, przegiąć, nachylić. Głosik czysty i dźwięczny, w którego wyrazie świeże panowało wesele, ubiór zawsze staranny i błądzący w oczy, coś pokusliwego i pociągającego szatańsko, czyniły ją dla młodzieży niebezpiecznym stworzeniem.

Bardzo też dobrze o tém wiedziała i nie lękając się weale ani oczów, ani słów, ani zbliżenia, nastroczała się na przygody, wiedząc że z nich zawsze potrafi wynieść zwycięzko. Zнали ją wszyscy i ona doskonale każdego z młodzieży, tajemnice akademickiego życia, położenie ichmościów, ich charaktery, a co dziwiło nie pomalu, słabość się mieć zdawała do kosookiego Konrada, który ją swym płaszczem pasowo podbitym i czapczką złotem i jedwabiami haftowaną z którą siadywał w oknie, oczarować musiał.

Był to może jój ideał! Niestety! jakkolwiek śliczne to było dziewczę, a wprawę jój muzykal-

na nabytą u Remnera mógł dobrze ocenić Konrad, bo ją cała ulica słuchiwała popisującą się koncertem *la minor* Hammla i wielką fantazyą Kalkbrennera—jój położenie w świecie szewieckim niedozwalało paniezykowi zwrócić oczów ku córce rzemieślnika, a choć w swój reformie społeczeńj zamierzał dźwignąć mieszczan i rękodzielników, sam jednak nie życzył sobie dawać przykładu rehabilitacyi z panną Różą, a wiedział znowu, że z ojcem jój i matką wcale nie można było żartować.

Ta kwatera szewiecka i warsztat p. Piłsnicia ożywiały niepospolicie nlezkę. Naprzód niło było zobaczyć twarzyckę świeżą i figlarne oczki panny Róży, posłyszeć jój piosenkę a czasem srebrny śmieszek z za wazoników jój pokoiku; potem chlopecy w terminie u szewca były to frygi nieustannie burezające po bruku i zawodzające coś pochwyczonego z szajnekaterynki, a sam pan Piłsneć ze swą powagą, majstra, mieszczanina, starszego ceehowego, głowy domu i ojca tak wysoce utalentowanój córki, zabawny też był niezmiernie. Męczennik ten chwilę jakąś szafu i zapomnienia okupywał wojną trzydziestoletnią ze swą ukochaną połowicą, nieustannie domagającą

się wyjścia po za szranki życia rzemieślniczego... nikomu jak jój nie śmierdziała skóra i dratwa. Cóż jój pomogło, że miała salonik z fortepianem w kącie, z donieczkami, z obrazami i poduszkami haftowanemi ręką córki na kanapie, kiedy wnijsia do niego nie było innego jak przez warsztat pana Piłsueia.

Kilkakroć próbowała temu zaradzić pani Piłsueina, ale zawsze zostawała alternatywa albo wchodzenia do salonu przez warsztat, albo do warsztatu przez salon, a stary jakkolwiek dawał sobą powodować żonie, na zmianę mieszkania, które by go klientelli pozbawiać mogło, zgodzić się nie chciał w żaden sposób.

Były projekta przekształcenia całkiem sklepiku na magazyn obóvia z napisem francuzkim, na ulicy Wielkiej, niedaleko Fiorentiniego i Opitza, ale stary głową kiwał i statecznie się opierał niebezpiecznej dla kieszeni reformie.

W rogu uliczki był i piekarz, który wszystkich jój mieszkańców miał na swym regestrze

a choć akademikom wyżej trzech rubli niechętnie dawał kredyt, czasem jednak pod pozorem niedostatku drobnój monety, udawało się wziąć u niego bez piciniedzy i na trzydzieści złotych świeżego chleba i bułek. Oprócz tych piérwszój potrzeby wyrobów, wypickano tu rogate, strucle, a nawet baby wielkanocne wspaniałe i lukrowane i plaeki do Świąconego.

Jak na toż, by uliczce na kwiatach świeżych nie zbywało i wesołych twarzyczek nie brakło, piekarz niemiec miał córkę Franię, tak pniehną i świeżą jak jego bułeczki, blondynkę, typ czy-sto germański, coś powolnego, łagodnego, spokojnego, nieznunzonego w pracy i jakby ośleplego na pokusy i wesele życia. Chociaż nie źle mówiła po polsku i sama siadywała w sklepie, Frania nie rozumiała nigdy tego co jój o czém inném jak o bułce i rogalu chciał mówić, a choć czasem oczy jój z nudów wlepiały się w ulicę, nie z nich iskierki życia wywołać nie potrafiło. Uśmiechała się wdzięcznie gdy kto kupił dużo, na konplementa odpowiadała milezeniem i wejrzeniem roztargnioném, a stale tylko prosiła każdego przychodnia, żeby drzwi za sobą zamykał.

Ojciec stary i kilkoro jeszcze rodzeństwa składały dom, w którym Frania była matką i gospodynią, cierpliwie czekając na jakiego Michel'a mającego się zgłosić o pulchną jej rączkę.

Otóż prawie i cała ludność znajomsza małego Łotoczka. Pomieszkawszy na niej młodzież tak się z nią była oswoiła i przywykła do jej obyczajów, że żaden ruch, krzyk, stuknięcie drzwiami nie były dla niej zagadką; umiano rozpoznać turkot powozu państwa prezydentowstwa, zgadując kiedy wyjeżdżał sam pan lub z córkami; po piosence i głosie rozróżniano chłopców pracujących u Pilsueia, po szmerze sukienki odgadywano przelatującą Różę, po dźwięku szyb każde otwarcie drzwi u piekarza, po chodzie kancelarystę przesuwającego się pod oknami panny Telesfory.

Cymbusia kulawość piętnowała pochod jego po bruku tak charakterystycznie, że posłany po tytuł, a niecierpliwie oczekiwany z powrotem, zdała po krokach nierównych niechybnie został odgadnięty i drzwi mu otwierano nim klamkę poruszył.

Spokojna to była zresztą i ucziwa uliczka

z której ognisko akademickie najlepiej znane było jego członkom, dalej już ku końcom, kraje były muiěj zwiedzane i mieszkańcy ich tylko z widzenia znani, a mistyczne o nich historye chodzące z ust do ust, sprawdzonémi być nie mogły. Brakło na to cierpliwości i czasu...

Cisza prawie cały dzień panowała na tym zaułku, rzadko przerwała ją dorożka, radsze jeszcze było zjawienie się powozu, a hałas i historya, któraby wszystkich szewczyków wywiodła przededrzwi, nigdy się tu prawie nie przytrafiały. Opodal był szynk, ale jakiejś natury spokojnej, nie przywabiający muzyką, nie hałaśliwy, przyzwoity i dbający o swą sławę. Sprzedawano tam wódkę flaszkami, buteleczkami, a czasem na kieliszki, ale zawsze pilnując, ażeby między konsumentami nie było hałaburdy, któryby niepotrzebnej narobiwszy wrzawy, uzeziwe miejsce skompromitował. Dozorea téj części, do której składu należał Łotoezek, codzień tu przychodził na swój kieliszek kminkówki, czasem znaj-

dował powód odwiedzenia gospodyni, z którą w wielkich był stosunkach i dwa razy. Dbła o tę przyjaźń na wszelki wypadek przydatną, pani Janowa wchodzącemu zawsze ofiarowała krzesło i haust słodkiego nektaru.

Obok szynku siadywała przekupka z pomarańczami, jabłkami, gruszkami, i imiemi owocami, ale i to był raczéj loszek hurtowy niż drobna sprzedaż. Wysyłała ona od siebie z nadpsutými wiktuałami dwóch chłopaków na miasto, a ci i do akademików czasem zachodzili, bo na te łakocie jeszcze wszyscy byli po studenku łasi. Przy loszku Wawrzyńcowej paliła się późno w noc łartarka, która nie raz opóźnionym wskazywała wśród ciemności drogę do domów.

Sprzedawały się tu kolejją jabłka, gruszki, winogrona, a na wiosnę wisznie, jagody, małgorzutki i wszelkie nowalje zielone, a handel nie ustawał nigdy, przedłużając się na przednówku orzechami, rożkami, figami i tego rodzaju pokusą dla gęby, około której zawsze dzieci sąsiednich domów odprawiały straż polykając ślinkę.

Podróżnym, co Łotoczek nawiedzał niekiedy, był żydek z katerynką, obdartus, miny łotrowskiej,

którego instrument chrypiał jak jego gardło, i obu po kilka zębów gdzieś w szynkach utraczonych nie dostawało. Z jarmużką na bakier, z popodpinanemi połamami, niegdyś siwym kalinkurem podszytemi, wpół zgięty, czasem przybierający do towarzystwa dziewczynę lat trzynastu z obręczem na ręku pokazującą sztuki łamane, i bachura, który bił w bębenek z wielkim akcentem, przesuwiał się niekiedy i przez spokojny Łotoczek, ale tu rzadko amatora muzyki i widowiska wynalazł. Odgłos tylko katarynki wywabiał chłopców pana Piłsucia za drzwi, a paunie Róży był powodem do ukazania w oknie główki z przytkniętými do nięj z obu stron rączkami osłaniającemi uszy. Robiła wówczas minkę tak strapioną, tak pogardliwą, i zbolalą, jakby katarynka nie była dla nięj pierwszą na świecie słyszana muzyką. Rada może była, żeby ją wówczas, często w oknie przesiadujący w szlafroku jedwabnym i haftowaněj czapeczce Konrad zobaczył pocieszenie przekrzywioną a zawsze ładnieuchną... Miała, niestety! widoczną słabość do niego, a ciągle bez powodu nastroczać mu się nie mogła, gdyż ojciec i matka nawet jēj wejrzeń przez okien-

ko doglądali, nie bez przyczyny obawiając się szalonej dziewczyny.

Oprócz Serapiona, który był zawsze zatopiony w sobie, Cyrylla zajętego nanką, Albina, który nie w świecie nie widział nad Annsię, Longina i Jordana nie myślących o kobietach, reszta mocno była zajęta i piękną Rózią i Manią i Zinnią i piekarsówną Franią i panną Telesforą nawet i wszelkimi zjawiskami rodzaju żeńskiego.

Matki i ojcowie dobrze czuwać musieli, zewsząd otoczeni nieprzyjacielem, który krążył i szukał kogoby pożart... sam widok młodych ich przerażał. Jedna Róża nie zdawała się wcale obawiać nikogo, i owszem nastęczała się oczom i uszom, przyjmując powitania i hołdy w sposób nie odstręczający.

Róża była ziemskim kwiatuszkiem tej doliny, której Mania i Zinnia były gwiazdkami, Telesfora poważną planetą, a Frania smacznym i miłuchnym grzybkiem wyrosłym pod starą jodłą.

Nad Rózię nikt lepiej nie znał nas wszystkich, a kiedy przypadkiem przyszło nam u panna Piłsucia bóty zamówić i do niej się zbliżyć,

witała po imieniu i nazwisku, i badała w sposób okazujący, że życie nasze nie miało dla niej tajemnic. Chociaż dalej nad ganek przeciwnego domu nie stąpiła krokiem, przenikliwość jej zgadywać się zdawała przez ściany co u kogo znajdować się mogło, jak kto mieszkał, i czém się zajmował.

Dziwném jakiémś niezuciem wiedziona, choć się do niej Teofil uśmiechał i był czas, że nieśmiertelną miłość jej poprzysięgał, choć inni zwracali ku niej błagające oczy, ona stała okazywała największą sympatyą dla Konrada. Wyrobiła mu nawet tajemnym wpływem swoim kredyt na obowie, którego elegant ów, więcej niż inni, i rozmaitszego potrzebował; ale mimo to niewdzięczny chłopiec najmniejszego dla niej nie okazywał współzucia i powracając z balów odwracał się od niej, aby swych wspomnień na tej mieszczańskiej twarzyczce nie zetrzeć.

Można już mieć pojęcie jak im czas upływał... każdy z nich szedł o swój godzinie do Uni-

wersytetu na prelekeye, tam przesiadywał czę-
sto pół dnia i obarczony notami wracał do do-
mu spoczywać, uczyć się, przepisywać, a naj-
częściej schodzono się do Teofila na herbatę i
wieczory, które wiele zabijały czasu marzenia-
mi i młodzieńczą gawędą.

Czasem schodzono się tam z sexternami, bo
nauka lżejszą się wydawała, gdy jeden drugie-
mu do niej przeszkadzał. Przed półrocznymi egza-
minami przygotowywano się do nich u Teofila,
ale przybywszy na miejsce, nim się wypaliło
z dziesięć fajek, wypilo herbatę, zebralo do po-
równywania notat i *variae lectiones*, często i pół-
noc wybiła. Potém niruczano godzin parę po-
wtarzając niby, przerywając sobie i śpiewką i
gawędą, nareszcie spać się zachciało i drzemano
do rana, a Cymbuś choć się nie nie neżył, po-
magał do tego wyśmienicie. Śpiąc chrapał, a
muzyka ta nocna miała tyle i tak dziwacznej
rozmaitości, że się czasem godzinami jój przy-
słuchiowano fizylogicznie badając ten dziwny fe-
nomen fonetyczny.

Przygotowania do półrocznych egzaminów, po-
tém do rocznych i całkowitych, były to najzna-

komitsze epoki w tém życiu, zresztą jednostajném, choć w istocie rozmaitości pełném. Nie dójrzało jój obce oko, zawsze też same widzące twarze, też same postacie w jednych powracających godzinach, lecz ileż tam dla nich było ważnych wypadków!

Rozmowy same już się stawały faktami znakomitemi, prócz tego każdy coś obok siebie znalazł co na nim robiło wrażenie, przynosił jakąś szczyptę do wspólnego łańcucha, wrażenie, pytanie, wątpliwość, choćby humor i usposobienie. Konrad był wonią z większego świata, Cyryll w nauce czynił odkrycia, Teofil zachwycał się coraz czém inném i kazał nam podzielać swe entuzjazmy, Longin szyderstwy myśl podbudzał a marzeniami swemi nasze podsyczał, Albin często listem z domu odebrany przejęty wchodził za myśloną pośród nas, każdemu jakąś oddaloną przypominając westchnieniem.

A ileż to szalu i niecierpliwości sprawiała każda nowa książka, każda wyśpiewana gdzieś daleko poezya, każdy wypadek, któryśmy sobie najfałszywiej tłumaczyli po dziecinuemu!

Szczególniej zjawiska świata myślowego, któ-

re dziś dla nas tak spowszedniały, ileż to robiły przyjemności! jak upragnione zjawiały się przepisywane noęą, wychwycone z rąk zazdrośnych—jakeśmy je zaraz na pamięć umieli i brali do serca.

Nie wiem czy kiedy wznowi się już ten zapal święty z jakim naówczas najmniejsza drobnostka przyjmowaną była. Wprawdzie Longin zawsze znalazł coś do krytykowania w areydzie i sparodiować je potrafił, ale w oczach milezącego Serapiona ileż to razy dostrzegliśmy łzę skrywaną! Poeciwy Albin klękał i ręce składał, gdy go rzewnemi wyrazy poëzya do niebios upragnionych podniosła. Cyryll był trochę chłodny, bo go nauka uczynić takim musiała, a obeznanie z areydzielami zrobiło niedowierzającym nowym czasem, które w oczach jego karłowato się wydawały. Konrad i Teofil unosili się także po młodemu, jeden tylko Baltazar śmiał się z tych uniesień i szalów woląc rzadkie dzieło medyczne mogące mu posłużyć do zamierzonej rozprawy, niż najszczytniejsze poëzye mistrzów słowa! I on wszakże słuchał ich, zaeiekawiał się... krytykował, a niekie-

dy wołał mimowolnie przejęty:— A! to wielka prawda!

Ale rzadko natrafiał na taką prawdę, która by z niego wyrwała przyznanie, bo co było uczuciem, to zawsze od stalowej piersi jego odpadało przystać do niej nie mogąc— a w poëzyi wszystko się musi przełać w uczuciową formę.

Długie wieczory zimowe wszysejśmy się schodzili do Teofila, każdy ze swoim tłumaczkiem dziennym, ze swą troską i zaprzęgnięciem, a zbliżenie się dodawało nam sił i podpierało tych, których mała jaka przeciwność zachwiała. Znajdowali oni chętną pomoc w towarzyszach, a nikt jej nigdy nie odmówił koledze, bo wszystko im było wspólne i choć często wyradzały się kłótnie, rzadki był bardzo przykład by te nad jeden wieczór potrwały, po wybnech chwilowym, namiętnym, ognistym, ścisł się mocniej jeszcze węzeł przyjaźni.

Stan ten trwał zrazu bez żadnych zmian znacznych po przybyciu i rozłokowaniu się w Wil-

nie, drobne różne okoliczności zaczęły go po-
tém powoli zmieniać, a największą zmianą było
nienastanne przerzucanie się Teofila, u którego się
zbićrano, który sprobował medycyny, pra-
wa; nauk przyrodzonych, literatury, zrażony wre-
szcie, nie wiedział co począć z sobą, bo już nie
miał ochoty do niczego. Longin, który niby
nim najwięcej kierował i narzucał mu się, za-
miast pomocy i litości, jaką był powinien oka-
zać, prześladował go teraz nielitościwemi szy-
derstwami. Teofil począł coraz mniej uczęszczać
na prelekeye, zubożył, bawił się czytaniem
wyrywaniem i bez ciągu, zagrażało mu nawet
w przyszłości, że będzie musiał Uniwersytet po-
rzucić.

Potrzeba więc było coś radzić, a Serapion
cichy i milezący, gdy szło o niego samego, po-
strzegłszy co się święci, pobiegł do Baltazara,
którego za najstateczniejszego uważał i miał so-
bie za obowiązek zwrócić na to jego uwagę.

— Teofilowi potrzeba coś poradzić, rzekł, ina-
czej porzuci nanki... sprobował wszystkiego po-
troszę, dziś mu już nie nie smakuje.

— E! to głowa otwarta na cztery wiatry, od

parł Baltazar, który do nudnych spraw dla miłości bliźniego mieszać się nie lubił— co ty chcesz? przerobić człowieka? takim się urodził i takim umrze, na nic mu Uniwersytet i nie po nim Uniwersytetowi— niech sobie lepiej do domu powraea.

—Ależ szkoda by go było, rzekł po cichu i skromnie Serapion, nie jest on bez talentu... mógł by się stać sobie i drugim użytecznym... Gdybyśmy go zachęcili, poddali mu radę dobrą, zwrócili go na drogę praey?

—Jakiejże pracy? ruszył ramionami Baltazar— co ty chcesz z niego zrobić? Dosyć Longin z niego naszydził, a przecie nie na nim wymódz nie potrafił.

—Gdybyśmy się kiedy zeszli do niego i łagodnie a serjo przedstawili mu następstwa téj niestałości, może poznawszy siebie popracowałby nad sobą.

—Kochany Serapionie, ty to zawsze mierzysz drugich sobą... ty co innego, on co innego... wszystko to daremne, bo z Teofila prócz dobrego towarzysza nie będzie, człowiek eo nie ma wytrwałości, zgubiony.

—Ale mógłby ją właśnie w sobie wyrobić!

—Gadaj zdrów...

—Zejdźmy się wieczorem...

—Ja przyjdę, ale tylko, żeby posłuchać i zobaczyć, jak się do przerabiania człowieka weźmiecie, czarnoksiężnicy!

Pocziwy Serapion poszedł tak milezkiem i do innych, wstąpił do Konrada, którego zastał nad tualetą i studyami komologicznymi;— porzucił wreszcie gospodarz szczotkę i wesoło powitał rzadkiego u siebie gościa.

—Przyjdziesz dziś do Teofila? spytał po prostu Serapion.

—Wieczorem? nie wiem! mam dziś wieczór! jestem proszony... zawołał Konrad.

—No to przed wieczorem twoim, chodzi o to, aby Teofilowi poddać zapalną ochotę, na których mu zbywa...

—A jakże! a jakże! doskonale! będę, powiem mu kazać! Potrzeba żeby starał się usposobić na żywego członka społeczeństwa, nie martwą częśćkę jego... musimy go sprostować, natchnąć, pokierować!

Cyryll przyjął podobne wezwanie mileżniem, Albin uściskiem, Jordan ręką machnął tylko i o mroku wszyscy się do Teofila powoli ściągają poczęli. Oprócz wymienionych było jeszcze kilku przypadkowo przybyłych i do téj nicnalczących kolonij, ale im wcześniej oznajmiono o co chodziło.

Teofil był właśnie w jednym ze swych paroxyzmów zwątpienia zupełnego, nie mu nie smakowało, wszystkiego poprobował i rzucił, życie zdawało się obojętne... zastaliśmy go nad książką, którą przewracał nie czytał, leżącego na łóżku w szlafroku, i poziwającego szeroko.

Alexander Maccdoński pierwszy stanął na przeciw łóża w postawie teatralnej, założył ręce na piersi i odczuwał się do niego podniesionym głosem.

— Patrzcie! oto człowiek! ma młodość! ma dostatek! ma czas, ma talent... boć i talent jest... a że mu Pan Bóg dał wszystko, niczego użyć nie umie! Skosztował tylko po troszę z jednej i drugiej miseczki i już się znudził wszystkiem... panowie medycy szukajcie mu lekarstwa... nie podobna tak opuścić kolegę!

— Jako medyk, przerwał Baltazar, jako starszy od was wszystkich, niebym innego nie poradził nad porządną frykę, któraby funkeye żywotne do harmonii powołała, bo jest dezorganizacya jakaś... ale Teofil już na to za stary... Medycyna nie tu nie poradzi, ale gdyby ojciec majątek stracił, a kawałka chleba zabrakło, kto wie możeby żelazna konieczność...

Konrad, który wszedł wystrojony chuchając w białe rękawiczki i począł serdecznie do zbytku witać po kolei wszystkich, rozbrajając żarty, które czuł, że go z powodu elegancyi podejrzanęj spotkać mogły— podchwycił żywo:

— Wina cięży nie tyle na Teofilu, co na społeczeństwie.

— Jako na społeczeństwie? przerwał żywo Serapion— co ci jest?

— O tak! rzekł Konrad, Teofil nie nie winien, że wychowania jego nie zastosowano do charakteru, że jednako karmiono go jak innych, że pocziwemu ojeu dozwolono wypieścić i syna. Społeczeństwo powinno było odebrać dziecie ojeu i czuwać nad niem, zrobić diagnozę umysłu i stosownie do nięj postąpić. Dziś, złe dokonane,

sam on tylko z tego zwątpienia dźwignąć się może wyrabiając w sobie wolę silną...

— To jest, mruknął Longin, żeby toczyć, potrzeba tokarni, a tokarnia musi być wprzód wytoczona sama...

— Czego wy chcecie odemnie? podchwycił Teofil, oglądając się po zgromadzeniu, które łoże jego otaczało... Cymbnś! nastawiaj samowarek i daj mi fajkę! *Et tu Brute contra me?* wyźwierzyl się do Konrada— i ty elegancie, próżniaku i światowcze? Czegoż powtarzam, chcecie od nie-szczęśliwego, padającego ofiarą swój żądry nauk i sławy? Wszakżem próbował wszystkiego? wszakiem się zapalał? wszak siedziałem po noceach? chodziłem jak zwaryowany? Cóżem winien, że jak kamień od razu idę na dno i widzę marność wiedzy ludzkiej? Mogęż ja gdy mi ręce bezsilne opadną, gwałtem się skazywać na pracę, któraby była bezpłodną?

— Możesz, rzekł po cichu i zwolna Serapion, zbierając się na odwagę wystąpienia w cudzej sprawie— możesz, powtórzył, praca nie jest zabawą,— męczy, to dobrze, nuży, tak być powinno, łamie człowieka, to jej powinność... Widzisz

chwilami, że droga, którą idziesz, pusta, ale nie wiesz dokąd prowadzi, a iść wytrwale potrzeba.

— Ale gdzież się zajdzie nie miłując przedmiotu? spytał Teofil, tu potrzeba miłości!

— Tak jest... a więcój jeszcze nad nią wytrwania— rzekł Cyryll.— Być że może, abyś z całego ogromu wied y ludzkiej nie dla siebie wybrać i stale ukochać nie potrafił?

— *Dixisti*, odparł leżący, tak ono właśnie jest— wybierałem po kolei każdą naukę, kochałem każdą i żadna mi się wzajemnością nie wyplaciła. Zupełnie tak jak kobiety.... zdaleka prześliczności... zachwycasz się, zbliżysz, rozpoznasz... ehe! plama na twarzy, brodawka na nosie... nogi jak stempory, ręce czerwone, i ideał przemienił się w kucharkę...

— To nieszczęście właśnie, że ty kucharki kochać nie umiesz, przerwał Kourad... trzeba umieć kochać, mieć miłość, a ideał ona stworzy, serce twe chłodne i próżne...

— Bałamucicie miłokosy! przerwał żywiej niż zwykle Baltazar— porównanie nie racya, Cymbuś gotów myśleć, że się jego pan kochał w Ma-

rytornie... skończyliście, jak zawsze, na błazeństwach!

—Widzę, że to cały spisek na mnie, rzekł Teofil śmiejąc się— ale cóż poradzicie, kiedy mi ochoty braknie?

—Ochoty się nabiera, byle chcieć jój, rzekł Baltazar.

—A kto nie umieć? kto nie może?

—Robi bez ochoty, a z obowiązku— odparł Cyryll— czy myślisz, że i my mamy ochotę zawsze? że i na nas nie napadają chwile znużenia i zniechęcenia? każdy na to choruje, ale słabość zwyciężyć umieć!

—A więc recepta! dawaj receptę! zawołał Teofil.

—Weźmiesz-że lekarstwo? wątpię!

—Czasem się ono daje i gwałtem! szepnął Longin z boku.

—Ale naprzód lekarstwo!

—Wytrwanie uporezywe! rzekł Cyryll.

—Ależ właśnie o to chodzi! ja go nie mam!

—Ucz się go wprawą powolną... *usus te plura docebit.*

—Żart żartem, zawołał Longin, tobie raz

przecie potrzeba się namyslić, wybrać stanowczo i wybrawszy przedmiot nie rzucić już go choćby się wyczerpał i umęczył.

—Dajcie mi przedmiot... sam go wybrać nie umiałem, wybierze dla mnie...

—Słuchajcie! rzekł panując Longin, znam dosyć człowieka, zrobimy konsyljum walne, a ja jako ordynaryusz opowiem historią choroby.

Wszyscy widząc, że się na długo zabięra, poprzysiadali na krzesłach, łóżku, poręczach, kufce i oknie, a twarz ospowata ciekawego Cymbusia, który o samowarku zapomniał, ukazała się we drzwiach.

—Poezło się to, mówił Longin, od niepomiernego nżycia różnych niestrawnych umysłowych pokarmów — chory obżarł się, był głodny, dopadł nagle do zastawionego dla liczego towarzystwa stołu, pił, jadł, opychał się i dostał w wysokim stopniu..

—Niestrawności! przerwał Teofil... dobrze... ale tu ani emetyku, ani hipekakuany nie zaadministrujesz?

—Natura młoda sama się pozbędzie niepotrzebnego, ale na przyszłość trzeba przepisać dyc-

tę, mówił stanowczo Longin. Głowa się do wszystkiego paliła, a nie każda rzecz wszystkim dobra, medycyna kochanku nie dla ciebie, kochałbyś się we wszystkich swych pacjentkach... prawo nadto poważne i suche, na filozofa nie wyglądasz. Kinwierem nie będziesz, bo jakby ci przyszło z zęba odgadywać zwierzę, nie doszedłbyś dalej szczęki... Tobie panuje imaginacya i pierwsze wrażenie, każda rzecz cię porywa, odbija się w tobie i wstrzęsa cię do głębi, jesteś stworzony na poetę lub literata, który nicém inném nie jest tylko zwierciadłem odbijającém otaczające go życie: wróć więc do literatury i trzymaj się już jój jak pijany płotu...

—Literatury! zaśmiał się Teofil, masz mnie więc za człowieka co nie poważniejszego, surowszego nie potrafi?

—Mam, i tak jest! rzekł Longin.

—A to może i prawda! zmieniał ton, odparł Teofil, powstając z łóżka... zawsze w sobie czułem to powołanie...

Wszyscy się rozśmiali, Cymbuś pokiwał głową ruszył ramionami wyraziście, i spluwając

powrócił do samowara. Mina jego zwróciła oczy wszystkich, Longin wskazał go gospodarzowi.

—Oto patrz, rzekł, nawet Cymbuś już w ciebie nie wierzy i śmieje się z ciebie.

—Bo nikt mnie nie rozumie! nikt na całym świecie!— krzyknął tragicznie obwiniony.

—Owszem, doskonale, rzekł Baltazar, ale gdybyś ty Teofilu lepiej swą słabość zbadał, możebyś coś na nią poradził.

—Nie rozumiecie mnie, nie! mówił dalej gospodarz— dusza moja łaknie nad miarę, ale ma jakieś przeczucie znikomości rzeczy ludzkich, nicości nanki, próżni życia. Goreję a nie mnie nie chłodzi, pragnę, nie mnie nie napaja, wołam, nikt nie odpowiada.

—Otoż dowód, jak dobrze radziłem, przerwał Longin, gotowa poczyta, o ryny tylko chodzi, ruszaj na literaturę i po wszystkiém.

—To jest, powróć, dokończył Albin Fiolek, niech twą dłoń znowu jako kolegi uścisknę, siądziemy na jednej ławie i pracować będziemy razem.

—Cymbuś czy samowar nie gotów? przerwał gospodarz zmieniając ton rozmowy.

—Dajże pokój Cymbusowi i samowarowi, rzekł zbliżając się Serapion, rzecz więc postanowiona, wracasz do literatury i dajesz nam słowo, że wytrwasz.

—Słowo? na co?

—Dla tego, że cię nam wszystkim szkoda bracie, że cię nam żal Teofila, że później ty sam żałować będziesz straconego czasu, a dla szczęścia twojego potrzeba pracy, celu, zajęcia.

Teofil rzucił mu się na szyję.

—Drogi mój młodziu! rzekł,— niech-że cię uściskam za najpoczeiwsze twe chęci, ale są ludzie przeznaczeni na męczarnie, i napiętnowani klejmem fatalności!

—Jak pan Piłsne, dodał Longin— bóty robi, bez butów chodzi i żona mu łysa głowę myje.

—Ale za to córeczka! rozśmiał się Jordan.

—Mnie się zdaje, że ten skarb nie wiele go pociesza, bo w dodatku jeszcze argusować nad nim musi, a Rózia nie łatwa do upilnowania.

—Rózia w jedno tylko okno Konrada pogląda i tam dla niej niebezpieczeństwo, rzekł Longin, reszta zabawka.

Konrad się jakoś nśmiechnął kwaśno.

—Niewdzięczny! rzekł Teofil— gdyby chciała tak patrzeć na mnie, jabym dla niej szalał!

—Szczęściem u ciebie i szal nie trwał by długo! dodał Jordan.

—Ale słowo twe? słowo? podchwycił Scrapion, słowo... oto świadkowie... czekamy.

—Chcecie? daję więc uroczyście, powstając i wznosząc rękę do góry rzekł Teofil— i poprzysięgam że, .. ale na cóż mam przysiąc? że literatury nieporzucę aż do śmierci!

—Bylebyś dotrzymał do ukończenia kursów.

—Nicch i tak będzie... biorę ją sobie za małżonkę... choć bardzo stara! bardzo stara! rozśmiał się Teofil.

—Poczyła? stara?— rzekł Albin.

—Jak świat... powtóre, trochę płocha, ale cóż robić? przyjmuje wyrok z rezygnacją.

Cymbuś, który piąte przez dziesiąte słuchał i zrozumieć nie nie mógł, a przyszło mu się, że jego pana żeniono z Rózią szewcówną, wychylił głowę i zawołał:

—Oto, jak się pan dowie! będzie paniczowi dopiero!

Śmiech ogromny i oklaski powitały śmiało wy-

stąpienie Cymbusia, który ruszywszy ramionami wrócił do pieca i samowara.

Tymczasem Konrad, który nałożył już nareszcie rękawiczki i z niecierpliwością poglądał na zegarek, nie śmiejąc wyjść pierwszy, szukał widocznie powodu do oddalenia się; Longin to postrzegł, a raczej domyślił się:

—No! bez ceremonii kochanie, idź gdzie wała powinność! Czuję przez skórę, że cię korci! nie potrzeba nigdy gwałtu zadawać naturze, nas ona prowadzi do téj dymnej izdebki, ciebie *ad altiora*, do świetnych salonów, na ślizgawicę posadzek... dobranoc wielki mężu!

—Nie dobranoc, Parquinie... bo jeszcze pewnie was zastanę tn zebranych powróciwszy— odpowiedział Konrad, wymykając się— wiercie, że mi istotnie żal, że tak miłe towarzystwo opuścić muszę.

—Ale obowiązki przedewszystkiém!— szepnął szydersko Baltazar.

—Ochota gorzej niewoli!— dodał Jordan— sam się zmuszasz i dobrze czynisz.

Konrad nie czekając reszty, potraćwszy Cym-

busia, wybiegł na wschodki śpiewając piosnkę dla nadania sobie odwagi.

Reszta zgromadzenia pozostała na cały wieczór, a Teofil nawet dał nadzieję wieczery i pieczonych kasztanów. Zabrało się więc na długą gawędkę, a przybycie kilku jeszcze towarzyszków z dalszych krajów, ożywiło trochę Cocus, i przeniosłszy się z sypialni do wielkiego pokoju, młodzież rozsiadła się w nim na sofach do koła.

KONIEC TOMU PIÉRSZEGO.





Biblioteka Raczyńskich

JIK **1193**



JIK1193

Niektóre Dzieła

wydane nakładem i drukiem Księgarni pod firmą
Józefa Zawadzkiego, w Wilnie.

Podróż do Włoch. Napisał Józef Kremer. Z drzeworytami. Tom 1szy i 2gi już wyszły z pod prassy, (Tom 3ci pod prassą). in 8vo.

Konkurent i Mąż. Komedia we dwóch aktach przez Józefa Korzeniowskiego. 12. 1860.

Duch i Krew. Kilka zarysów z życia towarzyskiego. Przez Adama Pluga, 3 tom 12. 1859.

Listy z Podróży przez Tadeusza Padalicę. 3 tomy. 12. 1859.

Ptāk. Z 5-go poprawnego wydania przekład Wacława Przybylskiego. 12. 1859.

Dwanaścioro Cudownych Dzioł. Zbiór dwónastu życiorysów dla użytku młodzieży i jej kształcicieli. Przez Dra T. Tripplina. 12. 1859.

Pastelnik w Prontunach. Powieść w dwóch częściach przez Ignacego Chodźkę, Autora Obrazów Litewskich. Podania Litewskie. Serya Trzecia. 12 Tom 1. 1858.

Gospodyni Litewska. czyli nauka utrzymywania porządku domu i zaopatrzenia go we wszystkie przyprawy, zapasy kuchenne, apteczkowe i gospodarskie; tudzież hodowania i utrzymywania bydła, ptastwa i innych żywiołów, według sposobów wyprobowanych i najdoświadczeńszych, a razem najtańszych i najprostszych. Wydanie trzecie poprawne i pomnożone różnemi przepisami. in 8. 1856.

Biblioteka Podróży i malowniczo-Historycznych opisów różnych krajów. wydawana przez Adama Zawadzkiego. in 12mo.

— Serya 1. *Nowe Światy*, przez P. Niboyet.

— Serya 2. *Podróż do Spitzberga*, przez P. Leonję D'Aunet.

— Serya 3. *Japonia współczesna*, przez Edwarda Froissinet.

— Serya 4. *Lato na brzegach Północnego i Bałtyckiego morza.* Wspomnienia z podróży przez X. Marmier.

— Serya 5. *Ośm dni pod Równikiem*, przez Emila Carrey.

— Serya 6. *Wychodźcy francuzcy w Luizyjanie.* Krzysztof Kolumb, przez Lamartina

— Serya 7. *Obyczaje i Podróże czyli Opowiadania o Nowym Świecie*, przez Filar: Chasles (pod prassą).

Bajronista. Powieść współczesna [przez Zygmunta Kaczkowskiego. 3 tomy 12. 1857.

Dwie Konwersacye z Przeszłości. Przez Ignacego Chodźkę, Autora Obrazów Litewskich. 12. 1857.

Trzy Palmy. (Powieść ze Wschodu). Alexandra Grozy. 16 1857.

Pamiętniki Jana Dnkłana Ochockiego, z pozostałych po nim rękopismów przepisane i wydane przez J. I. Kraszewskiego. 4 tomy 12. 1857.

Rys Chronologiczno-Historyczny Państw Nowożytych od V wieku do dziś dnia, z kilką Mapkami i Genealogjami, tudzież zbiorem pytań, ułożony przez Alexandra Zdanowicza. in 8vo.